MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVII. Nr. 37 WARSZAWA, 12 WRZEŚNIA 1937 R. CENA NUMERU 80 GR.

INTERESUJEMY SIĘ WSIĄ

GROŹNE pomruki strajku chłopskiego doszły nas niedawno z niektórych okolic kraju. Wywołało to ogólne zainteresowanie się tym, co się na wsi polskiej dzieje.

Dziesięciodniowy strajk, proklamowany przez ludowców, jest tylko jednym z epizodów w przeżyciach wsi i to epizodem bynajmniej nie najważniejszym i nie najjaskrawszym.

Przebywałem w lipcu r. b. na wsi w powiecie jarosławskim woj. lwowskiego. Ogłoszono tam ograniczony pobór na robotników do robót polnych we Francji. Z miejsca zgłosili się wszyscy zdatni do pracy z całej okolicy. Organizatorzy poboru mogli wybierać. Gorączka emigracyjna ogarnęła całą ludność. Sądzę, że to, co widziałem w pow. jarosławskim, możnaby powtórzyć we wszystkich częściach Polski z takim samym skutkiem.

Przed rokiem minister rolnictwa ogłosił, iż dla małorolnych, zamieszkałych w województwie krakowskim, przygotował 400 osad w Wielkopolsce i na Pomorzu na warunkach bardzo przystępnych. Przez kilka tygodni o niczym innym na wsi podkarpackiej nie mówiono, jak o—wyjeździe na owe kolonie. Na ich obejrzenie wybrało się wiele tysięcy delegatów. W pow. żywieckim zgłosiła się do wyjazdu cała, dosłownie cała ludność jednej ze wsi górskich.

Te dwa przykłady niech nam wystarczą na potwierdzenie wielokrotnie stwierdzonej pierwszej prawdy: wieś polska jest przeludniona. Ciasno jest wszystkim. I głodno.

Ludność pamięta nie tak dawne czasy, kiedy co roku pół miliona ludzi wędrowało na Saksy, a drugie pół miliona za morze, i kiedy za pieniądze, tam zarobione, dokupywało się ziemi z parcelacji dworskiej, żyło i kształciło dzieci w szkołach. Nic dziwnego, że do tych źródeł pracy i płacy dotąd ogół ludności małorolnej tęskni.

Czasy się jednak zmieniły. Trudno liczyć na ich powrót w dawnych formach i rozmiarach. Polska musi znaleźć własne formy, własne środki i własne drogi dla podtrzymania gospodarczego i moralnego wsi.

Powiedzą nam na to: robimy dużo. Odpowiem na to: robimy niewiele, a często źle.

W r. 1920 ówczesny rząd narodowy przyrzekł ziemię obrońcom granic Polski. W wykonaniu tej uchwały i ustawy przeprowadzono rejestr uprawnionych.

Był to rejestr bardzo obszerny. Ostatecznie otrzymało ośrodki i kolonie coś około 8,000 osób. Reszta nie zrezygnowała z przydziału i czeka—coraz niecierpliwiej. Lepiej było nie przyrzekać rzeczy niemożliwych do spełnienia i nie budzić nadziei i apetytów.

Zaraz w pierwszych latach uchwalono parę ustaw, które otrzymały nazwę „ustaw o wykonaniu reformy rolnej". Obietnice stronnictw na tle tych ustaw rozbudziły ogromne apetyty i nadzieje. Wykonanie ustaw musiało być grobem dla tych przesadnych nadziei. Rozparcelowano w latach 1919—1936 ogółem 2,425,500 hektarów, za zlikwidowane serwituty przyznano chłopom 584.200 ha roli i łąk. Razem w ręce małej własności w ciągu 18 lat przeszło 3 miliony ha ziemi. Ale w tym samym czasie liczba mieszkańców wsi zwiększyła się o 5 milionów głów. Przybyło na wsi okrągło milion rodzin. Z parcelacji utworzono zaledwie 137.800 nowych samodzielnych kolonij (gospodarstw). Z parcelacji sąsiedzkiej skorzystało 450 tysięcy gospodarzy. Już pobieżna analiza tej reformy rolnej w Polsce na odcinku parcelacyjnym dowodzi, iż obecnie rozdrobnienie ziemi jest większe, niż 18 lat temu.

Rozdrobnienie ziemi dokucza zwłaszcza województwom środkowym.

Oto o cyfry ostatniego spisu oparta, statystyka:

Województwo:	Ilość zespołów rolniczych:	w tym do 5 ha	powyżej 5 ha	niewiadoma ilość ha
krakowskie	240.707	192.497	32.721	15.489
łódzkie	183.610	100.570	76.111	6.929
kieleckie	276.303	178.984	79.625	17.694
lubelskie	307.058	170.614	113.147	23.297
warszawskie	211.873	80.295	117.779	13.799
pomorskie	57.723	16.261	39.762	1.700
śląskie	21.046	12.350	7.491	1.203
wileńskie	172.637	67.443	78.704	26.490
poznańskie	91.975	24.252	65.309	2.414
nowogródzkie	162.425	80.560	70.127	11.738
białostockie	194.667	72.045	111.775	10.847
wołyńskie	304.461	173.589	106.900	23.972
stanisławowskie	210.243	174.513	14.122	21.608
tarnopolskie	227.371	170.407	26.369	30.595

Wykaz powyższy dowodzi, iż gospodarstwa (zespoły) o obszarze do 5 ha stanowią w województwie krakowskim 80%, łódzkim 60%, kieleckim 70%, lubelskim 55%, warszawskim 42%, białostockim 38%, pomorskim 37%, poznańskim 30%, śląskim 55%, tarnopolskim 75%, stanisławowskim 83%, wileńskim 39%, nowogrodzkim 49%, wołyńskim 56% ogółu gospodarstw.

Nierówne rozmieszczenie ludności wykazuje dosadnie spis ludności z r. 1931. Na 1 km² mieszka w Polsce przeciętnie 83 osób. Różnice są jednak bardzo znaczne. Województwa południowe wykazują przeciętnie 107, zachodnie 95, centralne 97, a wschodnie 45 osób na 1 km².

Gospodarstw, liczących ponad 50 ha, a więc częściowo nadających się do parcelacji i kolonizacji, wykazuje statystyka w województwie tarnopolskim 413, stanisławowskim 318, wołyńskim 537, nowogródzkim 906, wileńskim 1.389, białostockim 776, lubelskim 747, pomorskim 2.031, poznańskim 2.566, śląskim 89, krakowskim 363, warszawskim 1.973, łódzkim 750, kieleckim 580.

Cyfry powyższe potwierdzają powszechnie głoszone tezy, iż reforma rolna nie zmieniła struktury gospodarstw włościańskich, a niewielka ilość pozostałej dla kolonizacji ziemi nie wpłynie zasadniczo na inny wygląd tych gospodarstw. Nie znaczy to, iż kolonizacji nie należało prowadzić, albo że jej na przyszłość należy zaniechać. Znaczy to tylko, iż niewielkim, pozostającym do dyspozycji zapasem ziemi należy gospodarować bardzo oszczędnie i bardziej rozsądnie niż dotąd.

W ciągu lat blisko 20-tu nie zmienił się zasadniczo sposób gospodarowania na roli. Zbiory pozostają w ciągu tego czasu na niezmienionym poziomie. Zbiór pszenicy z 1 ha dawał w latach 1909/13—12,4 q., w latach 1932/36—11,2 q., zbiór żyta 11,2 q. i 10,9 q., zbiór ziemniaków 103 q. i 114 q. Ta sama ilość żywności (zbiorów) musi wystarczyć na zaspokojenie potrzeb lu ności o kilka milionów liczniejszej, a pozbawionej przy tym dopływu zarobków z emigracji zarobkowej.

Zdają sobie już sprawę z małych efektów parcelacji szerokie masy ludności. Wiedzą już, że głodu ziemi nie zaspokoją nawet parcelacją całej większej własności. Nie rezygnując z tego postulatu, masy włościańskie w dużej mierze szukają pracy i chleba poza rolą. Tym tłumaczyć sobie musimy masowy pęd chłopów do przemysłu, do handlu, do rzemiosła, do szkół, do—emigracji.

Polityka państwa powinna pokryć te wszystkie (prócz może ostatniego) dążenia mas. Masy te i ich polityczni, a także i zasadowi (w organizacjach rolniczych) reprezentanci twierdzą, iż państwo na tym właśnie odcinku wykazało najmniej zrozumienia.

Daremnie szukamy w budżetach ciał publiczno-prawnych poważniejszych śladów poparcia dla młodzieży rzemieślniczej i handlowej. Dawne patronaty, stworzone przez Polaków w Lwowskim Wydziale Krajowym, zostały zwinięte. Organizacje społeczne nie znalazły zrozumienia ani poparcia. Państwo z zapałem i energią popiera prace humanitarne — nie ma zaś zrozumienia dla twórczych i konstruktywnych wysiłków wsi. Wszystkie wysiłki wsi, zmierzające do skierowania części ludności wiejskiej do zajęć innych, niż ściśle rolnicze, zdane są wyłącznie na własne siły. Środki państwa służą innym celom. Dość zajrzeć — poza budżetami państwa i samorządu — do bilansów banków państwowych i komunalnych. Pomijając znany fakt, iż *gros* oszczędności zabiera państwo na swoje potrzeby budżetowe i pozabudżetowe, stwierdzić łatwo, iż np. w r. 1934 z 1,405 milionów zł. kredytów krótkoterminowych rolnictwo otrzymało 245 mil. zł. czyli 15,7%. Z rolnictwa żyje w Polsce 60,8%. Jestto różnica niesłychanie charaktetystyczna i znamienna.

Trwający 7 lat kryzys gospodarczy odbił się szczególnie dotkliwie na cenach rolnych. Rolnicy otrzymali szereg ustaw oddłużeniowych. Uratowało to od ruiny i licytacji wiele zwłaszcza większych warsztatów rolnych, ale — równocześnie zabiło właściwy kredyt małego rolnika. Jest nim t. zw. kredyt sąsiedzki. Rolnik zaczął się wycofywać z wielu organizacji, ze szkół, z konsumcji gazet i książek. W r. 1935/6 dzieci małych (do 50 ha) rolników stanowiły w szkołach średnich 9,6%, w szkołach wyższych 11,1%. Upadają spółdzielnie rolnicze. Kasy gminne i Stefczyka obracają sumami wręcz mizernymi. Centralna Kasa Spółek Rolniczych miała z końcem r. 1936 aż — 8 mil. zł. wkładów oszczędnościowych.

Mimo tych warunków, o których chłop mówi, iż „biednemu wiatr wieje w oczy", chłopi z dużym powodzeniem wypędzali żydów ze wsi. W końcu r. 1931 było żydów na wsi 733.800 (z ogólnej ich liczby 3,113.900) czyli około 25%, a 75% w miastach. Na 23,184.700 mieszkańców wsi żydzi w liczbie 733,800 stanowili około 3,2%. Na 8.731.100 mieszkańców miast żydzi w liczbie 2.380.100 stanowili około 27%. W ciągu ostatnich lat proces przesuwania ludności żydowskiej ze wsi do miast przybrał tempo jeszcze żywsze.

Czy na zaktywizowanie usiłowań mieszkańców wsi w kierunku przemysłu, rzemiosła, handlu, chałupnictwa, intensyfikacji gospodarstw rolnych potrzeba odrazu sum miliardowych? Bynajmniej.

Znawcy stosunków wiejskich twierdzą, iż wystarczy rocznie 20 mil. zł. na t. zw. pożyczki na działy rodzinne, aby powstrzymać w bardzo wysokim procencie podział gospodarstw małych między rodzeństwo, a ułatwić odpływ do innych zawodów. Zamiast tej niezwykle prostej i celowej a nie kosztownej akcji państwo częstuje ludność małorolną ustawą o niepodzielności niektórych gospodarstw i olbrzymią ankietą i dyskusją na temat ogólnej niepodzielności gospodarstw włoś-

ciańskich. Na pożyczki rodzinne znalazło się jednorazowo 4 mil. zł.

Znawcy stosunków wiejskich twierdzą, iż wystarczy kilka mil. zł. rocznie na uruchomienie patronatu dla młodzieży rzemieślniczej i kupieckiej, rozpoczynającej samodzielne życie. Wystarczy kilkanaście mil. zł. na poparcie akcji sadownictwa, warzywnictwa, rybołówstwa i t. p. Mówi się powszechnie: znalazł rząd gdy chciał, 100 mil. zł. dla Scheiblera i Grohmana w Łodzi, kilkanaście mil. zł. dla Żyrardowa, paręset mil. zł. na wykup obiektów wielkiego przemysłu na Górnym Śląsku. Rząd, gdy chciał, wydawał rocznie kilka milionów złotych na obniżenie ceny nawozów sztucznych (szło więcej, niż o rolników, o podtrzymanie fabryk w Chorzowie i Mościcach), ba, rząd i mógł i chciał wypłacać premie wywozowe zbożowe i inne na sumy ponad 50 mil. zł. rocznie. Potrzebne za tym sumy na aktywizację gospodarczych możliwości wsi państwo, jeśli zechce, znaleźć mogło i znaleźć każdego czasu może.

Ale dotąd—państwo nie okazywało należytego zrozumienia dla takiej przemiany struktury gospodarczej wsi. I to jest największy błąd.

Chłop już z natury jest nieufny. Nawet w dobrej wierze i z dobrą wolą powzięte przy zielonym stole plany chłop traktuje jako — podstęp i nieszczęście.

W r. 1937 chciał rząd wykonać obszerny plan melioracji rolnych i drogowych przy pomocy szarwarku. I—nie wykonał go. Ludność wsi ma wyraźne uprzedzenie do przymusowej robocizny. Odrazu odżywa — widmo pańszczyzny. Rozruchy na tle narzuconego czy dobrowolnie przyjętego szarwarku w Suwalszczyźnie i w Sanockim każą władzom wojewódzkim, mimo ustaw jasnych i stanowczych, stosować robociznę szarwarkową bardzo ostrożnie. Obecnie stosunki i nastroje na wsi są takie, iż władze wstrzymały się z szerszym stosowaniem ustawy szarwarkowej. Ten sam zapewne los podzieli i ustawa o zastępczym powszechnym obowiązku wojskowym, przewidująca 6 dni w roku pracy przymusowej dla tych, którzy okazali się niezdatni do służby w wojsku.

Bierny opór wsi w stosunku do wielu poczynań państwa i samorządu (nawet samorządu rolniczego) przynosi olbrzymie szkody i państwu i wsi. Pęta on nagromadzone siły moralne i gospodarcze, paraliżuje rozpoczynane tu i ówdzie prace. Nieufność, niewiara, niechęć do tych, którzy dziś rządzą w państwie i w samorządach, sprawia, że wieś pogrąża się głębiej, niż naturalne warunki wskazują, w separatyźmie, w nędzy, w ciemnocie, w radykaliźmie.

Spokojna analiza sytuacji gospodarczej i politycznej wsi doprowadza do wniosku, iż wieś „tanio i łatwo” wyprowadzić możemy z obecnego impasu na drogę wielkiego rozmachu, rozwoju i postępu. Przy zaufaniu mas do Sejmu, do rządu, do samorządu ludność wsi przełknie nawet szarwarki i podatki. Zaufanie do rządzących jest zasadniczym warunkiem dla przemiany nastrojów biernych wsi na aktywne. Mimo wielkiego znaczenia przemian gospodarczych wsi główny warunek jej odrodzenia leży w zmianie jej nastroju do władzy, w moralnym związaniu tej ludności z państwem.

Tego panowie pomajowi dotąd nie zrozumieli. I dla tego są na wsi szczególnie niepopularni.

STANISŁAW RYMAR

NARODOWOŚĆ POLSKA I ŻYDOWSKA

PROBLEM ten nareszcie ruszył z miejsca. Odezwały się głosy w pismach zmierzające do sprecyzowania pojęcia narodowości, szczególnie narodowości polskiej w Polsce.

P. J de N w „Myśli Narodowej” sprowadza trafnie poglądy na narodowość (jakkolwiek nie uwzględnia różnicy pomiędzy pojęciami narodu a narodowości, „*nation*“ a „*nationalité*”) do dwu zasadniczych typów: 1) teorii narodowości opartej na woli indywidualnej, czyli t. zw. „narodowości z wyboru” i 2) teorii narodowości naturalnej, wprowadzanej najczęściej z pojęcia rasy. Pierwsza wywodzi się od racjonalistów francuskich i Russa, druga, „obiektywna”, była raczej od początku reprezentowana przez Niemcy. — Po linii pierwszej idzie także Renan, twierdząc, że „narodu nie stanowi przynależność de tejsamej grupy etnicznej, ale fakt dokonania wielkich dzieł w przeszłości i wola dokonywania ich w przyszłości”. — Od tego kierunku „francuskiego” przewodniczącego wszelkiej więzi naturalnej, odchyla się teoria Van Gennepa, który czynił obserwacje i poza granicami Francji, szukając prawdy pośrodku, — jak stwierdza autor, bliska umysłowości polskiej, i konkluduje, że prawo umowne, nauka i publicystyka polska stanęły na stanowisku narodowości obiektywnej, związanej niemniej z subiektywnem poczuciem jednostek.

W związku z powyższem trzeba jednak postawić kropkę nad i.

Wszystkie te teorie nie są i nie zmierzają do ustalenia jakiejś prawdy ogólnej, ale są tylko zdefiniowaniem prawd wynikających z poczucia i prawa umownego różnych środowisk, z którego pochodzi, lub które studjuje dany pisarz. A z tego właśnie wynika naczelna subiektywna racja i jej obiektywne stwierdzenie: N a r ó d j e s t t e m c z e m s i ę c z u j e. Tylko poczucia, nawet w negatywnym znaczeniu: ich braku, stanowią punkt wyjścia definicji. Jedni czują się braćmi z krwi, inni wspólnikami interesu. Kwestia tylko, czy teoretyk dotarł do głębi uczuć mas, czy też jest wyrazem pewnej grupy racjonalistów, lub tych, którzyby swoje poczucia pragnęli masom narzucić. Każdy naród zakreśla sam granice swego indywiduum. Historia jego przeczy bowiem wszelkim apriorycznym teoriom, o ile nie weszły one w jego krew i nie opanowały jego uczuć. Bez względu na to, czy będą to teorie wedle powyższego rozróżnienia „subiektywne” czy „obiektywne”, czy będą „dlatego że”, czy „dlatego aby”, ostateczna ich racja będzie zawsze subiektywna.

Podstawowym elementem uczuć są pubudki naturalne. Toteż zasadniczym elementem tej więźby jest poczucie wspólności rasy. Rasa nie jest narodem, bo ludzie jednej rasy mogą nie mieć

wcale poczucia jedności. Ale rasa jest głównym materiałem na naród. Rodzina jest komórką organiczną narodu, ale na to, by rodzina stworzyła dom, trzeba, aby wiedziała przede wszystkim, że nią jest. Bracia nie wiedzący, że są braćmi, rodzice i dzieci nie wiedzący o wzajemnym związku swej krwi, mogą mieszkać całe życie w jednej kamienicy, a rodziny w znaczeniu moralnym nie stworzą. Nie zawszeby ją stworzyli i uczyniwszy odkrycie swego pochodzenia, jeżeli ich tymczasem różnice życia, przyzwyczajeń i obyczajów, wychowanie w obcych środowiskach zdołały zbyt silnie zaabsorbować i oddalić. Z drugiej jednak strony zbliżać ich może i po za świadomością pochodzenia podobieństwo typów psychicznych, z którego wynika pokrewieństwo odczuwania i myślenia, równoległość idei...

W broszurze naszej „Kościół a naród i państwo" postawiliśmy następującą tezę: Naród jest to społeczeństwo, którego trzon stanowią ludzie jednej rasy, związani moralnie poczuciem wspólności i pierwszeństwa wzajemnych obowiązków wobec siebie przed obowiązkami wobec innych, poczuciem więźby organicznej z przeszłemi swemi pokoleniami i troską o pokolenia przyszłe.

Dla końcowego stwierdzenia narodu nie potrzebujemy wchodzić w to, co ludzi łączy, tylko w to, jak dalece ich łączy, ale przy analizie nie możemy ominąć tej prawdy, że świadoma, a nieraz i nieświadoma wspólność rasy jest najsilniejszym naturalnym łącznikiem uczuciowym. — W każdym więc razie idea narodu jest ideą subiektywną, ale najsilniejszą jej podstawą jest naturalna więźba „obiektywna", z której ta idea drogami uczuciowymi wyrasta. Bo charakter tej subiektywnej nadbudowy jest natury nie woluntarnej, tylko afektywnej. Bez względu na to jakie rzeczy mogą być łącznikami, nie układają się one w płaszczyźnie woli, tylko w płaszczyźnie uczucia. Racjonalne względy są zawsze zmienne, bo zależne od koniunktury, czy siły perswazji, — trwałe są tylko względy uczuciowe, w których pierwotne racje zejdą już w podświadomość. Te tylko tworzą żywy twór organiczny, nieśmiertelną istotę narodu. Wobec zasadniczych pierwiastków uczuciowych sprawa woli jest kwestią drugorzędną: albo bowiem wola będzie ich skutkiem, albo łączność dokona się mimo woli. Możnaby powiedzieć, że odpowiednikiem świadomej woli jest raczej idea konkretnego państwa jako formy bytu narodowego, ale trwałość jego zależy od tego, jakie poczucie wspólności jest tej woli pobudką.

Bardzo charakterystycznym sprawdzianem tego jest wczorajsze pojęcie „Żyda-Polaka". Kto obserwował uważniej różne końcowe fazy tej koncepcji, ten — *sine ira et studio* — przyzna dwie rzeczy: Po pierwsze, że byli żydzi, którzy bez premedytacji i po za świadomością tajnej polityki żydostwa, z dobrą wolą pragnęli uzgodnić żydostwo z polskością w swym amalgamacie psychicznym, którzy — co więcej — gotowi byli dawać pierwszeństwo w nim swej „polskości" nad swem „wyznaniem", — po drugie, że coraz gęstsze fakty oddalania się ich od polskości zarówno pod względem sposobu myślenia jak i samej idei narodowej i pierwszeństwa jej ponad interesem społeczności żydowskiej, wcale nie były wyprzedzane odcinaniem się ze strony polskiej.

Pod tym względem charakterystyczne świadectwo mamy w odsłonieniu działalności i sposobu myślenia zmarłego Tobiasza Aszkenazego, o którym szczegóły dokumentarne podałem w „Myśli Narodowej" (1935, nr. 49/50), prostując życiorys zamieszczony w Polskim Słowniku Biograficznym. Skłonni jesteśmy wierzyć, że „deklaracja Polaków wyznania mojżeszowego" z r. 1915 była szczera, a gdyby nawet była wyrachowanem pociągnięciem dyplomatycznym obliczonym na naiwność polską, to jesteśmy głęboko przekonani, że nie tylko wielu Polaków ale i wielu żydów brało ją zupełnie na serio.

„My żydzi austryjackiej części Polski czujemy się synami kraju do którego należymy, bez żadnych organiczeń i bez żadnych zastrzeżeń. Los Polski jest naszym losem, cierpienia Polski naszymi cierpieniami, szczęście Polski ma być i naszym szczęściem... kwestia żydowska w Polsce jest częścią kwestii polskiej. Wolność Polski jest wolnością żydów polskich".

Wobec postępujących szybko faktów, wobec nieubłaganej rzeczywistości, konsekwencje powyższej deklaracji w praktyce przybrały następującą postać: ten sam T. Aszkenaze, który ją ogłosił, podpisał artykuł, w którym czytamy dosłownie: „Nie można rzeczy tak stawiać że żyd w tym kraju musi być Polakiem albo Rusinem. To wielkie kłamstwo musi być usunięte. Olbrzymia masa ludu żydowskiego nie chce być ani polską, ani ruską. Ona jest żydowską i chce nią pozostać... Żądam uznania narodowości żydowskiej i przyznania wszystkim żydom naszego kraju prawa samostanowienia o swej przynależności narodowej. To usunie ważne źródło często nieświadomego kłamstwa, które zatruwa nasze życie publiczne".

Rzecz szła wtedy o pobór do wojska! Niedługo potem, żyrując się znowu jako Polak, zadenuncjował Aszkenaze wobec obcych „własny" naród polski, rozdzierając szaty nad czynem swoich „rodaków", którzy dopuścili się rzekomego pogromu żydów we Lwowie. Przedłożył misji francuskiej po za plecami społeczeństwa polskiego memoriał w tej sprawie, oparty na samych sfingowanych danych. Pomińmy szczerość intencji samego Aszkenazego, pamiętamy jednak z licznych rozmów stanowisko innych żydów, wśród nich zaś i takich, którzy gotowi byli dalej utrzymywać, że są Polakami i co dziwniejsza, w to wierzyć, — a którzy niczego złego nie widzieli w postępku Aszkenazego. — O wiele wiele większe jeszcze pole do takich obserwacji dają szeregi neofitów.

Tak więc wola bycia Polakiem nie gra tu żadnej roli, skoro się jest żydem. Ale o tem, że się jest żydem decyduje żydowskie poczucie. To zaś poczucie wypływa z istoty rasy, i to w równej mierze z faktu jej tożsamości, jeśli idzie o konkretną treść uczucia. — Tak tedy doszliśmy do naszego punktu wyjścia.

*

Mamy więc główny pierwiastek obiektywny do orientowania się w narodo-twórczych perspektywach: rasę. Wobec tego jednak musimy sobie przede wszystkim dokładniej odpowiedzieć na pytanie: co to jest „rasa"?

Wróćmy znowu do tez, któreśmy postawili w wymienionej wyżej naszej broszurze: „Zespół ludzi, którzy odziedziczyli pewne wspólne cechy fizyczne i cechy duchowe, urobione długowieczną

kulturą, tworzy w potocznym pojęciu dzisiejszym rasę".

Nie wyobrażajmy sobie przede wszystkim, że nauka tworząc pewne terminy, wymaga od nas ścisłego i wyłącznego ich stosowania i ograniczania do ustalonych przez siebie na danych polach definicji. W każdym wypadku chodzi o zrozumienie istoty rzeczy, a nie o definicje, które czerpie się z konwencjonalnie utartych, najbardziej istocie rzeczy odpowiadających określeń potocznych. W poszukiwaniach pionierskich nie należy obawiać się zarzutu definicji „nie naukowych", pominąwszy fakt, że i różne gałęzie nauki używają określeń niejako synonimowych na niepokrywające się zakresy pojęć. Gorzej, bo na gruncie czysto naukowym bywa taka rozbieżność definicji w jednym zakresie, że (jak np. w nowoczesnej metodyce literatury), panuje tam zupełna wieża Babel. — Dlatego, rozumiejąc co pod określeniem rasy pojmuje antropologia, nie ograniczajmy się do pojęć antropologicznych. Rozpatrzmy raczej określenia, które stworzył instykt społeczny, a przekonamy się, że znajdą się one bliżej nauk przyrodniczych, niż zdołamy przypuścić.

Człowiek, *homo sapiens*, mający ponad stworzeniem przywilej i łaskę konstrukcji duchowej, jest jednolitym gatunkiem zoologicznym. Wiadomo, że gatunki zoologiczne nie dają się krzyżować między sobą, tylko we własnym obrębie. Rasa jest pododdziałem gatunku, wyprowadzana drogą naturalnego doboru, hodowli i krzyżowania. Rasa odcina się od drugiej nie tylko cechami czysto fizycznemi, jeśli zaś te uzewnętrzniają się przede wszystkim, to nie należy zapominać, że są one przeważnie wynikiem pewnych szczególnych sprawności, skłonności, zdolności i cech charakteru mentalnego, czy pseudo-mentalnego, instynktywnego. Cechy te wyrabia w ciągu dłuższego lub krótszego czasu przystosowanie do warunków bytu, hodowla, czy „kultura". — To też jedność rasy ludzkiej jest wypadkową zarówno fizycznych dziedziczności, jak dziedziczności psychicznych wyprodukowanych drogą kultury, która wsiąka w krew społeczeństwa i formuje jego cechy duchowe. Te stają się z czasem skłonnościami atawistycznemi. W zakresie wspólnoty duchowej, która warunkuje naród, cechy fizyczne stają się raczej tylko znakami orientacyjnemi przynależności do danej grupy duchowej.

Potoczne określenie „kultury" w zastosowaniu do zwierząt i roślin z jednej strony, a człowieka z drugiej — daje nam wskazówkę do ścisłego paralelizmu zjawiska. O ile główny ciężar przeobrażeń pod jej wpływem w przyrodzie niższej dokonywa się w zakresie cech i sprawności fizycznej, a graniczy tylko w rozwoju instynktów, zmyślności, czy pewnych prymitywnych uczuć z zakresem psychicznym, — o tyle pod wpływem tej kultury, której nacisk znaczeniowy w stosunku do ludzi przesuwa się w kierunku duchowym, ten główny ciężar przeobrażeń pada na cechy psychiczne, granicząc tylko tu i ówdzie z ich wyrazem fizycznym. — Niemniej jest to nie tylko przypadkowa analogia, ale prosta tożsamość zjawiska, różniąca się tylko zakresem, — i podlega tymsamym prawom.

Z potocznego zatem pojęcia rasy wychodząc, urobionego ze śledzenia cech moralnych, a nie tylko fizycznych, wpływających wzajemnie na siebie, z pojęcia utartego nie tylko zresztą w Polsce, ustaliliśmy nasze określenia wyjściowe.

Z tego też stanowiska wychodzi polski „rasizm", ustalający się w publicystyce narodowej, jak go nazwał Giertych, rasizm „ograniczony", choć możnaby go taksamo nazwać rasizmem „rozszerzonym". „Gdy mówimy o rasie żydowskiej — pisze — nie chodzi nam o jej cechy fizyczne, lecz o to, że w osobniku tej rasy, prawem dziedziczności, odzywa się to, co stanowi żydowskiego środowiska właściwość duchową".

*

Rozważając w tej perspektywie stosunek ras aryjskich, powiedzmy: większości ras aryjskich do żydów, stwierdzić należy bez ogródek, że my jesteśmy rasą od rasy żydowskiej wyższą. Dlaczego? — Dlatego bo ich rasę stworzył „rasizm" (w znaczeniu dotąd pospolicie przyjętym, a co Stojanowski nazywa „genoteizmem"), a naszą — nie. Jesteśmy rasą wyższą moralnie. Wygląda to na stanowisko jeszcze bardziej akatolickie, niż zwany zoologicznym rasizm niemiecki, który wady psychiczne przypisuje, a raczej rozgrzesza nawet nieudolnością, czy predyspozycją fizyczną. — Ale to tylko tak wygląda.

Jakie są konsekwencje teorii rasy? Po pierwsze negacja potencjonalnej wartości duszy ludzkiej i jej równego prawa wobec Boga, — powtóre idea wyjątkowego prawa rasy wybranej do bytu i panowania nad światem. O ile ten ostatni wniosek jest usprawiedliwieniem krzywdzenia bliźniego na terenie doczesnym, — o tyle pierwszy jest herezją zaczepiającą samą treść religii chrystusowej. — Tu zaś niema ani jednego, ani drugiego.

Złe cechy rasy, wkorzenione przez kulturę setnych pokoleń, cechy, którym nie zaprzeczy nikt mający zmysł rzeczywistości, są predyspozycją psychiczną a bodaj nawet psychofizyczną jednostek pochodzenia żydowskiego, taką samą, jak dziedziczne obciążenie zwyrodnialców, czy jak niedorozwój umysłowy i tępota mieszkańców Ziemi Ognistej, czy jakby tylko atawistyczne skłonności do gwałtu, dajmy na to potomków raubritterskich. Jest to dopust boży, dany jednostce dla jej doczesnej walki ze złem, taki sam jak dla innej jednostki jest złe wychowanie, nędza, czy cokolwiek innego. Miara dobrej woli i walki z tą przeciwnością wewnętrzną będzie podstawą sądu boskiego nad duszą. I tu niema żadnej zastawki do niczyjego pierwszeństwa przed Bogiem. Bez względu na walkę, jaką w praktyce uznaję wobec całej rasy żydowskiej w Polsce, stwierdzam, że znam bohaterskie jednostki, dla których mam głęboki szacunek, choć o tem nikomu nie mówię, bo jako żołnierzowi narodu nie wolno mi podczas wojny bratać się z nieprzyjacielem, — jednostki, które przechodzą ciężką i tragiczną walkę ze swym „wewnętrznym żydem". „Nie widzimy w tem nic niemożliwego — pisze Giertych — by jakiś wyjątkowy żyd stał się prawdziwym Polakiem. Ale wypadki takie uważamy za rzadkie. Niełatwo duchowi odnieść zupełne zwycięstwo nad ciałem,.. Do człowieka, który bądź jest czystej krwi żydem, bądź też ma w sobie pewną przymieszkę żydowską, nie mamy zaufania z góry. Dopiero, gdy zostaniemy przekonani, że ten właśnie człowiek zasługuje na to by go uznać za wyjątek, gotowi jesteśmy tej nie ufności się pozbyć".

(Dok. n.) PIOTR PONISZ

DWOISTOŚĆ TEOZOFII TRENTOWSKIEGO

II

KARIERA wolnomularska Bronisława Trentowskiego jest znana wcale dokładnie. W lutym 1840 r. został on przyjęty dołoży *„Parfaite Harmonie"* w Miluzie. Młody, ambitny uczony, od niedawna docent uniwersytetu fryburskiego, liczył podówczas na katedrę uniwersytecką; poparcie ze strony możnej organizacji było dla niego, cudzoziemca, nie do pogardzenia.

Wprawdzie widoki na katedrę wnet się mimo wszystko rozwiały, ale Trentowski pozostał już w masonerii do końca życia; znalazł tam atmosferę, odpowiadającą jego umysłowości, i pociągający go teren działania. Od r. 1847 działalność ta związała się ściśle z lożą *„Zur edlen Aussicht"* we Fryburgu bryzgowskim. Była to loża prowincjonalna, niższa, trzystopniowa; zależała organizacyjnie od loży-matki *„Zur Sonne"* w Bayreuth. Tutaj w pełni okazała się gorliwość cudzoziemskiego „brata". Ona to, podparta wybitną inteligencją, wnet mu zapewniła w loży wyjątkowe znaczenie i posunęła wysoko w szczeblach organizacyjnych.

„Od więcej niż 30 lat — mówi sam w swym dziele — zajmowałem i zajmuję z wolnego wyboru moich braci już to, już owo z najwyższych miejsc w moim Wschodzie".[5]) Rzeczywiście należał do szczytów fryburskiej masonerii. Rychło osiągnął trzeci stopień wtajemniczenia, został „mistrzem". W pracach loży miał czynny udział: długi czas był „pierwszym mówcą". (*„erster Redner"*), bywał zrazu urzędującym zastępcą wielkiego mistrza (*„zugeordneter Meister"*), wreszcie „mistrzem katedry" (*„Meister vom Stuhl"*). kierownikiem loży z wielokrotnego wyboru. Z drugim w. mistrzem, G. A. Fickiem, żył w ścisłych stosunkach przyjaźni.[6]) Jeżeli zaś chodzi o życie wewnętrzne loży, o ruch idei, nie ulega wątpliwości, że tutaj ster był w ręku Trentowskiego. Jako „pierwszy mówca" wnosił on pomiędzy braci śmiałość inicjatywy i zaczyn nowych myśli.

Zaczyn ten był wydajny. Za czasów członkostwa Trentowskiego loża fryburska przedyskutowała do gruntu założenia ideowe wolnomularstwa oraz zasady ustroju organizacyjnego. Rezultatem tej pracy był szeroko zakrojony projekt reformy wolnomularstwa, zawarty w t. zw. rytuale fryburskim (*„Freiburger Ritual"*). Rytuał ten jest oczywiście owocem obrad starszyzny lożowej; nie mniej słusznie można go uważać za produkt myśli przede wszystkim właśnie Trentowskiego. On też, kiedy rytuał został przyjęty, wygotował do niego rodzaj obszernego komentarza, stanowiącego jego rozwinięcie i filozoficzne uzasadnienie. Komentarzem tym jest właśnie dzieło: *Die Freimaurerei in ihrem Wesen und Unwesen.*

Dodajmy jeszcze, bo nie będzie to bez znaczenia dla dalszych uwag, że książka ta początkowo pomyślana była i zaczęta jako dzieło ezoteryczne, przeznaczone ściśle na użytek wewnętrzny loży; później dopiero autor zdecydował się ogłosić ją drukiem dla wszystkich. Sam on pisze o tym wyraźnie: „Pierwotnie pisałem tę książkę wyłącznie dla braci i przeznaczyłem ją na użytek lóż instrukcyjnych.

W drobnej tylko mierze obchodzą nas losy projektowanej reformy fryburskiej. Książka Trentowskiego interesuje nas tu przede wszystkim jako jego dzieło, jako wyraz jego poglądu na świat, rozwiniętego raz nareszcie szczerze, bez przemilczeń i oportunistycznych zakrętów. Nie można jednak nie podkreślić, że pośrednio i bezpośrednio mówi ona zarazem bardzo wiele o stosunkach w loży (o co jeszcze w tej chwili mniejsza), oraz o strukturze światopoglądu wolnomularskiego w ogóle, a religijnego w szczególności.

Rzeczywiście problemy religijne wysunięte są tam na plan pierwszy; niemal połowę dzieła wypełnia wykład tego. co Trentowski nazywa nie teologią, ale teozofią wolnomularstwa, a więc obowiązującej w loży wiedzy o Bogu.

Wysuwając w ten sposób zagadnienie religijne na czoło rozważań światopoglądowych, zdawał sobie Trentowski sprawę, że będzie musiał zwalczać opór i uprzedzenia, szeroko i głęboko zakorzenione wśród samych braci, gdzie elementy ateistyczne były bardzo liczne i silne. Sam przecież przyznaje, że czysto humanistyczny duch wolnomularstwa pozwala na przyjmowanie ateistów, jeżeli skądinąd nadaje się do celów związku. Jeśliby się ich wyłączyło od przyjęcia, byłyby loże nie rzadko bardzo ubogie w członków (*„oft dünn bevölkert"*).[7]) Toteż w lożach zasadniczo uważa się przynależność wyznaniową za sprawę prywatną, nie grającą roli przy zjednywaniu członków; czy to więc „chrześcijanin czy żyd, czy też wyznawca innej religii", — to obojętna, byleby skądinąd byli dla loży pożądani. Przed takim to audytorium rozwinął Trentowski swe poglądy teozoficzne.

Światopogląd wolnomularski, zdaniem Trentowskiego, na trzech głównych spoczywa filarach: na właściwym pojęciu Boga, na takimże pojęciu człowieka, jego mocy, obowiązków i celu, wreszcie na uznaniu t. zw. światła św. Jana.

Boga pojmuje on jako stwórcę świata („Wielki Budowniczy") zarazem przyjmuje jego osobowość; odrzuca zatem stanowisko zarówno materialistyczne, jak i panteistyczne. Poznanie Boga — zdaniem jego — dokonywa się na drodze przyrodzonej, dzięki potędze umysłu ludzkiego; jakikolwiek udział objawienia jest tu całkowicie wyłą-

[5]) *Die Freimaurerei*, str. 316.

[6]) Interesujące, że z polskimi organizacjami wolnomularskimi związków bodajże nie utrzymywał. W wydanych *Listach* jedna jedyna wzmianka może się do tego odnosić. Wróciwszy z Paryża do Fryburga, wspomina w liście do L. Niedźwieckiego z dn. 7. V. 1860: „Towarzystwo, którego prezydentem byłem przez kilka lat (to zn. oczywiście loża *„zur edlen Aussicht"*), wyprawiło ucztę wieczorną na moje powitanie" (str. 397). Nie widać stąd, żeby Trentowski traktował Niedźwieckiego jako jednego z „braci" wtajemniczonych. W licznych listach do Nakwaskiego o loży nigdy nie było wzmianki.

[7]) *Die Freimaurerei*, str. 19. Utyskiwania na wolnomyślicielstwo i ateizm wśród „braci" powtarzają się często; Trentowski nie tai, że ateiści bywają po lożach w większości i usiłują narzucić ten charakter całemu ruchowi. W końcowej części krytycznej uważa on to w ogóle za jeden z objawów *„des Uwesnes"* owoczesnego wolnomularstwa (por. str. 354 i n.).

czony. Trentowski zatem wyznaje teizm; mieni się „najczystszym teistą” i głosi teizm za najwyższą formę religii, gwarantującą jej powszechność.

Dodajmy znowu, że tak stawiając sprawę, rozumie Trentowski, iż występuje wbrew opinii znacznej części braci. „Materialiści i panteiści — pisze — których wielu jest w naszym związku, tudzież większość braci, którzy z góry odrzucają wszystko, co jest w zgodzie z nauką kościelną, będą na pewno niezadowoleni z tego wniosku”. Nie wątpi jednak, że ich zdoła przekonać.

Bóg osobisty, obiektywizując się, stwarza świat; najwyższą zaś formą stworzenia jest ludzkość, bo w niej osobowość, pierwiastek boski, dochodzi do samoświadomości. Człowiek więc jest istotnym synem Boga, równym mu co do natury wewnętrznej. Duch jego wyposażony jest w dar twórczy, który go i w działaniu czyni podobnym Bogu. Ten dar właśnie nazywa się „światłem św. Jana” i on rozstrzyga o przeznaczeniu człowieka na ziemi. „Światło to — to inteligencja Boga w człowieku, ogień niebieski, genialność, która tworzy wszystkie umiejętności i sztuki i ukazuje nam prawdę samą w sobie”.

Światło św. Jana, ów promień prometejski, dany duchowi ludzkiemu, jest zarazem fundamentem jego nieśmiertelności. Trentowski przyjmuje nieśmiertelność duszy, wyobrażając ją sobie w formie coraz nowych wcieleń, t. zn. palingenezy. Wiarę natomiast w niebo i piekło odrzuca zdecydowanie; są to tylko, zdaniem jego, stany duszy: „są faktem mojej pewnej wiedzy i mego sumienia”, natomiast pojęte jako forma nagrody czy kary za życie ziemskie, są „baśnią” i „moralnym nonsensem”. Uznając Boga, absolutne dobro — zła absolutnego Trentowski nie uznaje, odrzuca też wieczne potępienie.

Nie uznaje także grzechu pierworodnego, naukę o nim („staroegipską”) ma za „kiepsko wymyślony mit, który ma oddać duchowieństwu włodarstwo łask niebieskich i utwierdzić na ziemi teokrację”. Nauka o grzechu pierworodnym — zdaniem jego — jest „ubliżającym kłamstwem”; degraduje człowieka, uzależnia go „od objawienia nadprzyrodzonego, od łaski Odkupiciela i jego Kościoła, od niebieskich mocy sakramentów itd.” To też wolnomularstwo — powiada autor — odrzuca ją z całą stanowczością (*„ganz entschieden”*).

Jak widzimy, z tego podstawowego założenia wynikają w wolnomularskim systemie religijnym Trentowskiego bardzo daleko idące konsekwencje. Jest rzeczą oczywistą, że w systemie tym, choć mieści on osobliwego rodzaju koncepcję Trójcy Św., nie ma miejsca dla Chrystusa-Odkupiciela. Nie było upadku rodzaju ludzkiego, nie ma też potrzeby zstąpienia, ni śmierci krzyżowej Syna Bożego, zbawcy świata. To też naukę o Chrystusie poczytuje Trentowski również za mit teozoficzno-etyczny, za „teurgiczny fabrykat”, osobę jego (równie jak osobę Matki Boskiej) za osobistość nie historyczną lecz teozoficzno - etyczną (*„keine historische, sondern eine theosophisch-etische Person”* [8]), a cześć Jego w kościele poprostu za fetyszyzm.

*

Tutaj przystańmy nieco, żeby się rozejrzeć i zorientować w dziwnej dwoistości poglądów Trentowskiego.

Wykład swej „teozofii” dał on, jak wiadomo, dość wcześnie w osobnym dziele: *Bożycy*. Do druku dzieła tego nie doszło, treść jego jednakowoż, zwięźle ujętą, znajdziemy w III t. *Panteonu*. Jest to dzieło (acz równie po śmierci autora wydane) o kilka lat starsze od *Die Freimaurerei*; ukończył je 1861 r., niemniej na krótko przed śmiercią raz jeszcze przejrzał i oddał do druku. Z dumą spoglądał na nie jako na najwyższy pomnik swego systemu, także jako na rodzaj filozoficznego testamentu. Testamentem było i *Wolnomularstwo*.

Jakiż jest tedy stosunek obu „testamentów” w rozpatrywanym tutaj zakresie poglądów?

Mocno rozbieżny. Zapewne, znając poglądy Trentowskiego bez obsłonek wyrażone w *Die Freimaurerei*, czytelnik *Panteonu* niejednokrotnie zatrzyma się nieufnie przy wyraźnych obsłonkach tego dzieła i pod zakryciem słów dopatrzy się tu i tam tej samej w gruncie rzeczy istoty nauki. Zarazem jednak przeoczyć nie może, że obsłonek jest tam wiele i że naogół przystrajane są tak, by wyrażone poglądy niezbyt raziły nie nawykłe do nich ucho polskiego czytelnika.

Wykład natury Bożej, natury Trójcy Św., jest tu i tam analogiczny; w szczególności pojęcie Syna Bożego w *Panteonie* jest w gruncie rzeczy toż samo co i w *Die Freimaurerei*. I tu pojęty jest on jako „Człowieczeństwo wszech światów i czasów na Przedwieczności piersiach [9]), a Chrystus jest li jedną z możliwości jego wyjawiania się „po ziemiach”. O cudach jego powie autor wprawdzie: „Cudowne leczenia chorych, które czynili Chrystus, Hohenlohe i inni(!!), są już należycie od psychologii wyjaśnione”, ale na innym miejscu nazwie Chrystusa wyraźnie „Bogiem-człowiekiem, który z nami żył i cierpiał” [10]), wspomni nawet o jego męce krzyżowej, nazwie go też (w swoistym, co prawda, sensie) Zbawicielem, a nawet Odkupicielem. Podobnież sarka na tych, co wyszydzają „niepokalany początek wcielonego Syna Bożego i Matki Jego Przeczystej”, chociaż i tutaj daje wykład tajemnicy raczej przenośny i symboliczny. W *Wolnomularstwie*, pamiętamy, sam staje zdecydowanie wśród wyszydzających.

Przy nauce o grzechu pierworodnym dwoistość oczywista. Niezbyt dawno, zapytany w tej materii przez Zdanowicza, odpowiedział Trentowski: „Ja uznaję grzech pierworodny nie li w przenośnym znaczeniu, ale i w gołosłownym” [11]). W *Panteonie* wykład nie jest tak zdecydowany i odbiega oczywiście od nauki Kościoła; w każdym bądź razie mówi się tam wyraźnie o „upadku” pierwszych rodziców, „gdy w jarzmie chuci i namiętności utracili wiedzę swego pochodzenia z niebios”. Ani mowy więc o tym, żeby autor uważał naukę o grzechu pierworodnym za „baśń” i „kłamstwo”.

Różnic między *Panteonem* a *Die Freimaurerei* jest na tym polu więcej (np. w poglądzie na niebo jako miejsce nagrody wiecznej, w pojęciu aniołów i in.), najoczywistsza chyba w poglądzie na palingenezę. W *Wolnomularstwie* jest autor jej zwolennikiem bez zastrzeżeń. W *Panteonie* natomiast

8) Choć w innym miejscu (str. 225) zdaje się uznawać historyczność postaci Jezusa i powtarza zuchwałą baśń, że działał on pod wpływem idei wolnomularskich.

9) *Panteon wiedzy ludzkiej*, t. III (Poznań 1881), str. 547.

10) Tamże, III 466.

11) *Listy*, str. 334.

odrzuca ją zdecydowanie: „Nie! — pisze — Chrześcijaństwo ma słuszność. Bóg nie chce i chcieć nie może doskonalenia się ciągłego ludzi i rzeczy aż do Wszechstronności swojej i takiego stopnia, jaki jest w Nim samym" [12]).

Czytelnik tych i tamtych zdań stanie wreszcie zdezorientowany. Poglądy te są z jednego mniej więcej czasu, a jakżeż rozbieżne! Co tu biało, tam czarno; co tu prawe, tam lewe; co tam obezwano błędem, „moralnym nonsensem", „ubliżającym kłamstwem", tutaj podano tak, że można przyjąć spokojnie za prawdę. Więc jakżeż? Trudnoż tu mówić o ewolucji poglądów; któreś z nich trzeba wyłączyć. Gdzież tedy prawdziwy Trentowski: w dociąganym do prawowierności *Panteonie*, czy w wojowniczo nowatorskim *Wolnomularstwie?* Jakaż ostatecznie jego wiara?

(D. c.) STANISŁAW PIGOŃ

[12]) *Panteon*, III 797.

NACJONALISTYCZNE KONKLUZJE O NAPOLEONIE

(Dokończenie)

ZUPEŁNIE błędna, nie polityczna jest ocena Kongresu Wiedeńskiego przez większość autorów francuskich, jeszcze błędniejszy. całkowicie niesprawiedliwy jest ich sąd o powrocie Bourbonów. Proponujemy czytelnikom poznanie z jednej strony charakterystyki 1814—1815 roku zawartej w „Talleyrand" hr. Saint-Aulaire'a, a z drugiej np. rozdziałów poświęconych tej epoce przez b. ministra Pichon'a w wielkiej historii Francji wydauej pod redakcją Hanotaux. Złośliwe frazesy Pichon'a nie są poparte argumentami ani prawdziwie politycznymi, ani przedstawieniem stanu faktycznego; inne stanowisko zajmuje Saint—Aulaire przenikliwie badający układ sił i atmosferę moralno- polityczną epoki. Bourbonowie nie przyjechali „w furgonach najeźdzcy", lecz ocalili przed najeźdzcą wszystko co można było ocalić. Zwycięska koalicja zwalczając Napoleona, odróżniała go od Francji, co było wielkiem ułatwieniem sytuacji przy zawarciu pokoju; koalicja nie mogła zwalczać Bourbonów i czynić ich pozycję nieznośną, gdyż przedstawiali oni zasady w imię których obalono Napoleona lepiej niż którakolwiek z dynastii państw zwycięskich.

Potworny egoizm Bonapartego przywiązywał losy Francji do losów jednego człowieka, który mając skończonych lat dwadzieścia jeszcze nie uważał się za Francuza. Największym obłędem jest przyczepianie Francji do Napoleona jeszcze w 1815 roku po jego „powrocie z Elby", który zniweczył rezultaty znakomitej gry politycznej Ludwika XVIII-go i Talleyranda. W r. 1814 doszło wreszcie do tego, co mogło było nastąpić już w r. 1792 i potem w r. 1795; dzięki układowi masonów francuskich (Danton, Lebrun, Dumouriez) z księciem Brunświckim, masonem dowodzącym wojskami koalicji, pochód sprzymierzonych na zrewolucjonizowany Paryż zakończył się kanonadą pod Valmy; zarządzona przez Napoleona w 1795 r. kanonada przed kościołem św. Rocha uniemożliwiła wydobycie się Francuzów z chaosu rewolucyjnego bez interwencji zagranicznej. W r. 1815 spowodował Napoleon trzecią od wybuchu rewolucji inwazję ziem francuskich i drugie zajęcie Paryża z tysiącami trupów; kilkoletnią okupacją ziem francuskich i milionami kontrybucji trzeba było zapłacić za szaloną eskapadę sprzeczną z interesami i honorem Francji. Za odruch żołnierski wciągający Francję w nową awanturę napoleońską ciężko Francja zapłaciła; uwydatniła się w r. 1815 z całą wyrazistością ta przepaść, która dzieli myśl polityczną od ryzykanctwa spragnionych „czynu" czcicieli „wodza".

Wyjaśniają epopeie napoleońską i bronią jej, wskazując, że stała się ona przez szereg bohaterskich czynów źródłem patriotyzmu. Czy Francja takiego źródła nie miała? Roland i Du Guesclin, Bayard i d'Assaz nie byli mniejszymi bohaterami niż „grognards". Napoleona i ciągle pamiętać trzeba, że byli na usługach lepszej sprawy. Od Tolbiac, Bouvines i Orleanu do Marignan, Rocroy, do Steinkerque i Denain, do Fontenoy idzie triumfalny pochód sztandarów francuskich kierowanych francuskim dziedzicznym rozumem stanu; żadne z tych zwycięstw nie było etapem przybliżającym nieuchronną klęskę, jak bitwy rewolucyjne i napoleońskie od Jemmapes i Marengo zaczynając na Arcis-sur-Aube kończąc. Żołnierze napoleońscy szli za wodzem odbierając wolność narodom i niszcząc starą cywilizację; marszałkowie napoleońscy szli za triumfatorem, a opuścili zwyciężonego, gdy zaś do niego wrócili w r. 1815 (Ney), to byli dwukrotnymi zdrajcami. Żołnierze uwielbiali „małego kaprala", ale czy on ich kochał? Na to pytanie wypada odpowiedzieć przecząco. „Mam milion ludzi rocznej renty" mawiał Napoleon. „Cóż znaczy milion żyć ludzkich dla takiego człowieka jak ja", oświadczał cudzoziemskiemu dyplomacie. Można powiedzieć, że to słowa; dobrze, a czyny? Aby zostać cezarem opuścił Napoleon dziesiątki tysięcy „lwów", których zachęcał do śmierci w gorących piaskach Egiptu mówiąc o patrzących na nich piramidach; aby zachować swój diadem, zostawił w śniegach i błotach setki tysięcy weteranów i młodzieży z całej Europy i potajemnie uszedł do Francji aby tam zbroić piętnastolatków („les Marie-Louise"). Królowie francuscy dostawali się do niewoli, ale na polu walki (Jan Dobry, Franciszek I); król-Słońce, Ludwik XIV, posyłając z Wersalu marszałkowi Villars plany, których realizacja sprowadziła zwycięstwo pod Denain, chciał w razie dalszych niepwodzeń pojechać na front i zginąć w walce wśród swoich wojsk, aby za swego życia nie dopuścić do zajęcia Paryża przez wrogów.

Są zwolennicy nawet wielbiciele „Cesarza", którzy podzielając krytyczne poglądy na polityczną rolę Napoleona, są jednak pełni najgłębszego podziwu dla niego, jak dla człowieka; admirują jego geniusz, wolę; oczarowuje ich gigantyczna

kariera Napoleona Bonaparte; uważają, że gdyby go nie było, to zabrakłoby barwnych kart w dziejach ludzkości. To są opinie niepolityczne z których jedne są wyznawane przez brutalnych karierowiczów, inne zaś przez snobów, który wyobrażają sobie bezcelowe, siejące śmierć i nędzę, bitwy napoleońskie, jakby to były epizody ze scenariusza operowego. Jako człowieka brutalnego, historycznego i monstrualnie samolubnego, charakteryzują Napoleona szczegóły z jego życia prywatnego i przeżyć romantycznych na które z oburzającą pobłażliwością zapatrują się ponurzy moralizatorzy Ludwika XIV i XV-go. Jak słusznie podkreśla Bainvièlle w najlepszej może ze swoich książek „Napoleon", układał Bonaparte z zupełną świadomością tło pełne natchnień dla poetów i malarzy, fałszujących dzieje. Wszyscy, nierozumiejący prawdziwie wielkich postaci, (Ludwika XI, Franciszka I, Ludwika XIV), poeci i powieściopisarze, tworzyli w pierwszej połowie XIX-go wieku glorię Napoleona I, przygotowując II-gie cesarstwo, ktorego proklamowanie napełniło ich goryczą i świętem oburzeniem. Niestety, osądzając Napoleona jak człowieka, trzeba się zgodzić z konkluzjami Suareza, zawartemi w świetnym studium *„Vues sur Napoléon"*.

Ciekawe, dziwne, powikłane są drogi współczucia ludzkiego: Ludwik XVI-ty władzca prawny i prawowity, zwycięsca Anglii i twórca floty, której potęga od jego czasów nie została osiągnięta, wzrusza mniej serce niż Napoleon, sprawca Trafalgaru i Waterloo; ścięcie przez tchórzów i awanturników monarchy, który nie chciał, aby „dla niego" była rozlana choćby kropla krwi francuskiej, nie budzi współczucia w tych, którzy za to ubolewają nad „okrutnym" wygnaniem na wyspę Ś-tej Heleny. Ten dziwny, tak źle umieszczony sentymentalizm, objawia się jeszcze jaskrawiej w ocenie losów, zamęczonego w Temple, Ludwika XVII-go i zmarłego w pałacu schoenbruńskim, Napoleona II-go. Losy Ludwika XVII-go są tak przykrą i hańbiącą kartą dziejów Francji, że mówi się o nich niewiele, gorzej jeszcze: wykolejając naturalną drogę myśli i uczucia, zrobiono z prawdziwie męczeńskiej śmierci Ludwika XVII-go rodzaj sensacji, wprowadzając w wątpliwość, czy to on rzeczywiście umarł dn. 9 czerwca 1795 r. Zato o zmarłym naturalną śmiercią Napoleonie II-im, rozpisują się literaci i wzdycha boleśnie publiczność, dająca wiarę nonsensom, upoetyzowanym przez Rostand'a w „Orlątku". Jest rzeczą godną uwagi, że większość historyków, sprzyjających Napoleonowi i większość adoratorów Napoleona I-go kieruje się w swoich poglądach uczuciem i bardzo często wspomnieniami rodzinnemi (najwybitniejszym historykiem tego pokroju jest Fryderyk Masson); innym imponuje Napoleon jako człowiek czynu, akumulator energii (Louis Madelin). To wszystko są motywy dla politycznego osądzenia Napoleona niewystarczające, albo sprzeczne z politycznem myśleniem, w szczególności z politycznem myśleniem nacjonalisty.

Jednocześnie anarchiczne i tyrańskie ostatnie półtorawiecze, zaroiło się nietylko wielbicielami, ale, co gorzej, naśladowcami Napoleona, dla których jego zawrotna kariera stała się ideałem życiowym i którzy studiując tę karierę odkryli w sobie geniusz militarny i powołanie na „twórców" państw i „wodzów" narodów. Tymczasem dla narodów i państw szkodą jest wprowadzenie do dziejów, jako elementów politycznych, jednostek, na nieludzką, a więc kłamliwie wielką miarę i „elit", złożonych z politycznie bezmyślnych lub źle myślących, kierujących się odruchem rozpolitykowanego żołnierza — awanturnika, czcicieli i towarzyszy „Napoleonów" pod każdym względem — Małych. I dlatego trzeba się zgodzić z ostateczną konkluzją Bainvill'a o Napoleonie I Wielkim: „Lepiej byłoby gdyby go nie było". Zaś na „Napoleonów" Małych najlepszem lekarstwem jest nie rozognianie sobie wyobraźni wykolejającymi życiorysami „nadludzi", wyskoków natury, lecz badanie życia pokoleń w ramach naturalnego porządku, opartego na zasadzie krwi i tradycja, która stworzyła i rozwinęła łacińską cywilizację.

Z W. Rewolucją i Napoleonem wystąpiły pierwszy raz na scenę Europy pokolenia, które chcą narzucać przyszłości swoje, nowe hymny narodowe i swoje, nowe sztandary.

Pierwszy raz zasadnicze konkluzje o Napoleonie sformułował Châteaubriand w broszurze „O Bonapartym i Bourbonach" ostateczne zdanie o dziejowej roli „boga wojny" znajdujemy w Maurrasa „Jeanne d'Arc — Louis XIV — Napolèon". Nazwiska tych autorów świadczą, że nie trzeba być zwolennikiem poglądu obniżającego udział jednostki w pochodzie dziejowym na rzecz mas, Indywidualista, Châteaubriand i Karol Maurras, potępiają Napoleona jako postać, która utrwaliła wykolejenie Francji, wyjście jej z ram ciągłości cywilizacyjuej, używając wyrażenia świetnego przedstawiciela prawdziwego *ésprit français,* Abela Bonnard z Akademii Francuskiej (zob. A. Bonnard — *Les modérés*). Podobne niebezpieczeństwo stwarzają naśladowcy Napoleona, dzięki którym ma się zaczynać „nowa" historia, „nowe" państwo i „nowy" Naród. Tysiące ludzi, wiedząc, że Napoleon jest pochowany w paryskim kościele Inwalidów, jest przekonanych, że ten kościół i otaczające go gmachy dla weteranów wojskowych zbudował nie kto inny jak „Cesarz"— poprzedzające go tysiąclecie przepada: Cezaryzm napoleoński wcale nie jest przeciwieństwem wobec rządu „mas"; jest to cezaryzm plebiscytarny, synteza dwóch nonsensów: najwyższowładztwa półboskiego „wodza" i „nieomylnego", złożonego ze zniwelowanych jednostek „ludu". Dzisiaj ten system urzeczywistniają państwa totalne (tylko Mussolini zachowując monarchię umieścił rewolucję narodową w tradycyjnych ramach życia narodowego); Napoleon zbudował taki totalizm jaki odpowiadał jego czasom; Hitler i Kemal-Ataturk stosują dziś metody o tyle różne od Napoleona, że wobec udziału milionowych mas w życiu politycznem musieli zorganizować milionowe monopartie, dając im więcej żywności ideologicznej, niż Napoleon, który miał do czynienia z nielicznym bardzo elementem naprawdę rozpolitykowanym. Ostatnim szerokim echem bonapartystycznego zamętu we Francji był bulanżyzm i republikanizm plebiscytowy; płytkość tego ruchu kierowanego przez poetów i powieściopisarzy (Deroulède, Barrès, Coppé) wykoleiła reakcję narodową, która dziś idzie pod bezkompromisowymi już sztandarami tradycjonalizmu, rozwiniętymi przez *„Action Française"*.

LESZEK GEMBARZEWSKI

NA WIDOWNI

Po powrocie z wakacyj. — Cywilizacja prawdy stoi na duchu. — Potrzeba ludzi czystych, aby uświęcili świat w świecie.

GDY PO POWROCIE z wakacyj znajdziemy się w mieście, to przez pierwsze dni czujemy się jakby całkiem oszołomieni miejskim zgiełkiem i zaduchem. Po czystym powietrzu łąk, pól i lasów—trudno wprost oddychać rozpalonym powietrzem tłocznych i ciasnych ulic. Upajająca cisza wiejskich wieczorów i jasny błękit nieba, w którym myśl może szybować w nieskończoność, zamieniają się raptem w bezustanny szum i hałas i ponure tło wysokich kamienic, zasłaniających prawie całkiem niebo, ścieśniających jego ogrom i mącących jego błękit neonami. Jest to wszystko głęboko symboliczne dla teraźniejszego świata i dobrze oddaje tę prawdę, że życie nasze zanadto się oddaliło od natury, od tego co istotne i boże—i zabardzo zaplątało się w ślepe uliczki fałszywych prawd i ideałów.

Płuca nasze tęsknią w mieście za powietrzem wsi, ale jeszcze bardziej tęskni dusza nasza za jej wdziękiem i prostotą. Czuje się potrzebę moralnego odradzania i szuka jego źródeł. O odrodzeniu ciała ciągle się teraz mówi, — buduje wspaniałe „Ciwf'y" i propaguje eugenikę, ale o wiele ważniejszą jest sprawa duszy, a o tę dba się zamało.

Człowiek jest jednolity i chcąc go naprawdę uzdrawiać, zawsze od ducha zaczynać trzeba. Zdrowie ciała to przede wszystkim konsekwencja pierwszego i cywilizacji naszej najsampierw ratunku duchowego potrzeba.

Dość spojrzeć na jej triumfującą szatę zewnętrzną, na jej dworce, stadiony i fabryki i zestawić to z bezduszną brzydotą jej kościołów. Tu duch jest chory a nie ciało.

Chora dusza, chora cywilizacja to brzmi dziwnie złowrogo i smutnie. Jest to cierpienie niepokojąco nadludzkie i straszące myśl majakami Mereżkowskiego i wizją jego Atlantydy. Lekarstwa mózgów uczonych są tu naogół bezsilne i właściwie jedno tylko mamy lekarstwo — powrót do Boga.

Katolicyzm, nie jako przedmiot osobistego nabożeństwa i prywatna sprawa człowieka, ale jako religia obejmująca sobą wszystko i wielki prąd społeczny, chcący budować swój świat i ład jest u nas stosunkowo niedawny. Ale w każdym razie jest, organizuje studia specjalne, jak ostatnio w Warszawie i jest naszą jedyną drogą, a jego wskazania świecą nam jak latarnia morska wśród mroków nocy bolszewicko-hitlerowskiej.

Zdziwi może moich czytelników to połączenie ze sobą tych tak sprzecznych ideologij. Ale nie tak znowu sprzecznych jak to się w słowach wydaje. Ostatecznie wszystko jedno w imię czego, ale każda z nich neguje nieśmiertelnego człowieka, każda łaknie jego duszy dla kolektywu. Każda też materię przede wszystkim dostrzega. A tymczasem kolektyw żyje przez ducha i duch wszystko w sobie zawiera.

Cywilizacja więc prawdy i cywilizacja zdrowia ducha przede wszystkim dostrzegać winna. On nią rządzi i nią kieruje i on musi być wolny. Materia musi być zepchnięta na plan drugi, na swoje odwieczne służebnicze miejsce. Gdy tego nie ma, logiczny porządek rzeczy jest odwrócony.

A więc wszelkie dzieło ludzkie od duszy ludzkiej się zaczyna i w niej wyraża. Jaka ona, takie i ono. I gdy sama dusza ugrzęzła dziś w oparach materializmu i zatraciła odwieczny ideał na rzecz doczesnego, cywilizacja także musiała się zmienić z cywilizacji katedr na cywilizację maszyn.

Grecy — najgenialniejszy chyba naród historii — za ideał stawiali w zdrowem ciele zdrową duszę. I oczywiście nie technika jest wadą naszej cywilizacji i nie jej rozpęd maszynowy, ale tylko i wyłącznie to, że idąc tak szybko naprzód w dziedzinie materialnej, czcząc mamonę a nie Boga, nie poszerzano równocześnie, tak jak to być powinno, i ducha przez co wypaczono właściwą logikę rzeczy.

Tę naruszoną równowagę przywrócić trzeba i to jest hasłem dnia. Tego mają dokonać owi „Giganci" Majdańskiego — ale tego dokonać mogą tylko ludzie naprawdę wielkiego zakroju, a więc ludzie w swoich intencjach i sercach czyści.

Pamiętam jedne rekolekcje akademickie z nauką nieodżałowanego ks. Szweynica. Mówił o uczcie Baltazara, o owem Mane, Tekel, Fares, które się wtedy jako ostrzeżenie ogniste pijanym biesiadnikom pokazało. Wskazywał na to, jak nieczystość i powiązany z nią najściślej materializm dziwnie zaślepiają i umniejszają człowieka, jak niesłychanie go nędznym robią i podatnym na wszelkie zło. I że nie może być mowy o silnych charakterach, o twardej woli i pięknych intencjach, gdzie ducha bożej czystości nie ma. Ewangelia się nie myli i cywilizacja takich ludzi napewno Boga oglądać nie będzie. Króluje jej raczej Venus Vulvivaga, włócząca się po wielkomiejskich ulicach jak w sonecie Kasprowicza i do reszty pomniejszająca, już i tak małe dusze.

Człowiek jest słaby i boi się wielkich czynów, a nie lubi wielkich słów. Zawrotna droga do gwiazd wydaje mu się tak niedosiężna, że chętnie szuka różnych wymówek. Doskonałość ma być rzekomo nieosiągalna i dlatego nie rozpoczyna się poprawy. I wtedy się mówi, że ona jest dobra dla świętych, i że świat wymaga czego innego.

A świat właśnie wymaga świętych dla siebie, a nie dla klasztoru, bo on a nie klasztor jest tłem życia. Nie przez ucieczkę, czy przez rezygnację się go poprawi. I następnie nie jest on sam w sobie zły. Tylko wschodni, bizantyński pryncypializm mógł widzieć w nim zło, całą cnotę i całą boskość życia zamykając tchórzliwie na górze Athos.

Nietzsche obrazowo powiedział, że kto chce na świecie być czystym, musi i w brudnej omywać się wodzie. Jest to ogromnie prawdziwe i ogromnie w stylu naszej cywilizacji, pozornie tylko zbliżone do Dostojewskiego, który także swego Alioszę Karamazowa po świętość wyprawia w brud świata. Ale właśnie naczelną ideą jest, że wody tego świata nie są znów takie brudne, i że wszystko, co naprawdę ludzkie, chociażby i najbardziej z ciała, jest i wielkie i uprawnione.

I dlatego można i trzeba uświęcić świat w świecie. Przywrócić naszej cywilizacji łączność z Bogiem i prymat ducha, dać jej prawdziwie radosne oblicze i prawdziwą wiosnę upojeń, ale do tego konieczną jest czystość serca i idealność jego pobudek i o nią też zabiegać trzeba.—„Błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądać będą".

KAROL STEFAN FRYCZ

GŁOSY

FAKTY

Niedalej jak tydzień temu omawialiśmy na tym miejscu popisy p Wiesnera, senatora Rzpltej z nominacji, który na zjeździe *Jugenddeutschepartei* zapowiadał aneksję ponowną przez Niemcy Pomorza i Poznańskiego. Działo się to w Sępolnie, tym samym, w którym oto teraz p. starosta w państwowo twórczym zapędzie zabronił członkom Stronnictwa Narodowego witać powracających z manewrów oddziałów wojska. Ano — co wolno koszulom brunatnym, tego nie wolno jasnym... Fakt pierwszy.

Rok szkolny zaczął się w hitlerowskim Gdańsku niebywałymi oddawna represjami w stosunku do ludności polskiej. *Schupo* wyławiała na dworcu dzieci chcące się udać do swojej szkoły, aresztowała rodziców, rugowała z pracy. Już widać, niektórzy zupełnie zapomnieli, że Gdańsk jest wolnym miastem, ale połączonym z Polską i że pod jej znajduje się protektoratem. Ktoś może powie, opierając się chociażby na tym formalnym, niestety, stanie, iż polityka Rzeszy nie jest odpowiedzialna za politykę senatu gdańskiego, my jednak musimy się oprzeć na stanie faktycznym i widzieć dzisiejsze Wolne miasto zasięgające instrukcji z Berlina i strojące się na przyjazd Goebbelsów w czerwone sztandary ze swastyką. Kto więc musi ponieść odpowiedzialność za prześladowanie ludności — sprawa najzupełniej jasna. Fakt drugi.

Jedno z pism niemieckich znajdujących się pod egidą partii narodowo - socjalistycznej pozwoliło sobie na niesłychany wybryk, pisząc o Matce Boskiej Częstochowskiej, którą naród polski szczególną czcią otacza i uważa za Królowę swojej korony. Fakt trzeci.

Możnaby jeszcze wiele, podobnych zacytować. Te są jednak z ostatnich czasów. Mówią wiele — wszystko. Jaka jest nasza reakcja? Oto w Bydgoszczy następuje otwarcie niemieckiego gimnazjum... Podkreślamy — w Bydgoszczy.

Jeśli mamy w stosunkach międzynarodowych stosować zasadę zemsty, to już nie stosujmy jej z gatunku t. zw. szlachetnej. Dzisiejsze Niemcy dalekie są od ewangelii i rzucania chlebem w zamian za kamień nie zrozumieją zupełnie. A tu trzeba reagować w sposób, któryby ukazywał całe nasze znaczenie. Prowadzimy, wprawdzie, politykę pokojową, ale nie na pokoju tylko i wyłącznie nam zależy — nasz sąsiad zachodni, z którym dobre stosunki utrzymujemy, jak widać, za wszelką cenę również pragnie pokoju. Musimy o tym pamiętać. Taktyka polegająca na ustępstwach nie zawsze osiąga cel, chociażby nim był święty spokój.

Niemcy, zda się, zrozumiały swoje nietakty i zdobyły się na satysfakcję, pociągając do odpowiedzialności redaktora pisma, które się w sposób dla nas bolesny odezwało o Matce Boskiej Częstochowskiej. Musimy zauważyć, że ze wszystkich form satysfakcji wybrało dla siebie najmniej kłopotliwą...

Stanowisko obozu narodowego wykazało ostatnimi czasy, iż sojusz polsko - francuski nie stanowi dla niego dogmatu nienaruszalnego, gdyż nie każda Francja daje gwarancję owego sojuszu i nie każdej Francji polityka zgodna jest z polityką polską. Tym bardziej jednak obozowi narodowemu trudno jest zrozumieć politykę „szlachetnej zemsty” i bezustannych ustępstw w stosunku do Niemiec. O sprawach tych należałoby czasami choćby pomówić. Są one zbyt ważne i zbyt obchodzące każdego myślącego Polaka, ażeby nad nimi w ciszy zupełnej przechodzić do porządku.

JARMARK POLESKI.

Doroczną już imprezą stał się jarmark poleski połączony z szeroko rozgałęzioną propagandą zapraszającą do zwiedzania uroczych „dżungli” oraz obejrzenia wysiłków tej najuboższej dzielnicy Polski.

„Dżungli” poleskich jest w istocie dwie. Jedna to te bagna, rzeki i lasy pełne ptactwa dzikiego, szuwarów, mgieł porannych i wieczornych, druga to stosunki narodowościowe i gospodarcze. Polesie zamieszkują „tutejsi” ostatnimi dopiero czasy przyciągani ku polskości. Jest to warstwa wsi, zaścianków, spławiająca drzewo, kosząca łąki, uprawiająca jałową ziemię. Żywe to ciało obsiadł straszliwy pasożyt w postaci żydostwa, które zamieszkuje w większości, dochodzącej nieledwie stu procent, wszystkie miasta i miasteczka, rządząc się tam jak szare gęsi (w stolicy Polesia Pińsku viceprezydentem miasta i faktycznym jego rządcą jest żyd). Żydzi zawładnęli tu handlem, pośrednictwem i rzemiosłem. Pokazana na jarmarku tablica głosi, iż na 31 cechów rzemieślniczych 25 jest żydowskich a tylko 6 chrześcijańskich, że na 23 związki rzemieślnicze 10 jest żydowskich, 9 chrześcijańskich, a 4 mieszane. Cyfry te mają swoistą wymowę i dają odpowiedź tym, którzy pragną odnaleźć przyczynę ubóstwa tej dzielnicy. Po rozruchach brzeskich żydzi pińscy postanowili zniszczyć, unicestwić zupełnie wszystkie placówki chrześcijańskie. Na szczęście stanowcza postawa ludności polskiej uniemożliwiła to zamierzenie.

Nigdzie tak jak na Polesiu żydzi nie czują się aż do zadziwienia pewnie. Gdy się ogląda miasta. miasteczka i osiedla poleskie, dochodzi się do przekonania, iż kolonizacja ziem tutejszych przez ludność żydowską była w ich umyśle tylko logiczną koniecznością. Aż przykro mówić i pisać.

Pamiętajmy, że nad drewnianym, parterowym Pińskiem górują pyszne barokowe kościoły: katedra, jezuicki, wraz ze starym kolegium, i dominikański, zamieniony przed laty na cerkiew i dzisiaj w rękach prawosławia pozostający. Pyszny ten naprawdę barok, imponujący swoją skalą przypomina nam odległe czasy dawnej Rzeczypospolitej, z którą—deklamując wciąż o „nowej” Polsce,—tak słabą posiadamy łączność. Mury owych kościołów przetrwały niejeden dziejowy kataklizm, pod obstrzałem dział niejednej wojny się znajdowały, a jednak są, niezdeformowane nawet bizantyńską aneksją, są i trwać będą zawsze. Jakże słaby i tandetny przy nich jest ów dzisiejszy Pińsk drewniany, żydowski, o jednej z głównych ulic nazwanych imieniem żargonowego pisarza Pereca. — Pereca. Barokowe kolegium jezuickie zwycięsko tłumiło herezje „nowinek” dyssydenckich, przetrwało schizmę, płacąc za tę walkę jedynie zburzonymi ołtarzami, które się dziś powoli znowóż wznosić poczynają, i zatartymi freskami, które dzisiaj powoli znowóż z pod tynku wychodzić poczynają.

TAJEMNICA OSTATNICH DNI JOACHIMA LELEWELA

JAKO odbitka z wydawnictwa „Kultura i Nauka” ukazała się rozprawa prof. Ignacego Chrzanowskiego pod wymienionym w nagłówku tytułem.

Cóż to za tajemnica? Ano posłuchajcie!

Dn. 29 maja 1861 r. umarł w Paryżu w szpitalu na Faubourg Saint Denis Joachim Lelewel. Mieszkał on stale w Bruksellі, tam miał swoją bibliotekę i tam pracował naukowo. Do Paryża przywieźli go dwaj jego przyjaciele—dr. Seweryn Gałęzowski i Eustachy Januszkiewicz dn. 26 maja. Żył więc po przyjeźd ie tylko 3 dni.

Na podstawie bowiem artykułów tegoż Januszkiewicza, Kordaszewskiego (w dzienniku „*Le National*“), Lublinera, Le Hardy de Beaulieu’go, wreszcie listu ks. Dechamps do ks. Prusinowskiego opowiada prof. Chrzanowski o tym, jak Lelewel został wywieziony z Bruksellі.

Lelewel był ciężko chory, podróż była dlań niebezpieczna. Mimo to owi dwaj „przyjaciele” zmusili do niej starca, spakowali jego bibliotekę i papiery i pospiesznie wyjechali do Paryża. Nie porozumieli się przytem z lekarzem miejscowym, u którego Lelewel się leczył, nie zwracali uwagi na protesty chorego.

Opowiadanie przyjaciela i gorącego wielbiciela, Eugeniusza Le Hardy de Beaulieu’go o tem wywiezieniu tak streszcza prof. Chrzanowski.

„...Kiedy 23 maja rano zjawili się u Lelewela owi dwaj panowie i kazali mu wręczyć swoje bilety wizytowe, Lelewel krzyknął z przerażeniem: „Oni przychodzą, żeby mnie męczyć, niech sobie ruszają do djabła”. Około południa wyciągnęli Lelewela do *Hôtel Suède*, skąd wrócił do domu późno w nocy. Nazajutrz znowu do nich poszedł. „Podczas jego nieobecności p. Januszkiewicz, przy pomocy kilku robotników i innych ludzi, zaczął pakować całą bibliotekę chorego. Cztery wielkie kufry były już pełne, kiedy około godziny trzeciej Lelewel wszedł do pokoju. Widząc, co się dzieje, opadł na krzesło i przeszło godzinę siedział nieruchomy, z twarzą zadumaną i smutną”. „Oto jak ustąpił wobec natarczywych żądań swoich przyjaciół... Po czym—ciągnie dalej autor—Gałęzowski wsadził Lelewela do powozu, żeby jechał z wizytami pożegnalnymi... Wrócił Lelewel do domu około jedenastej w nocy. Zanim się położył, weszła p. Piron i zapytała go, czy to prawda, że nazajutrz wyjeżdża do Paryża. „Tak — odpowiedział — oni mi zmącili łeb, odebrali mi wolność, wzięli mi książki, to teraz mogą robić ze mną, co im się podoba”.

Z opowieści powyższej i z innych świadectw wyprowadza prof. Chrzanowski oczywisty wniosek, że przewiezienie Lelewela do Paryża przez pp. Gałęzowskiego i Januszkiewicza miało wszystkie cechy porwania go wbrew jego woli.

Jak to wszystko wytłumaczyć? Jaka była tego wszystkiego przyczyna?

Prof. Chrzanowski odsłania tę tajemnicę, stwierdzając, że L e l e w e l b y ł m a s o n e m!

Należał już w Wilnie do tej samej loży, co Grodek, to jest do loży „Cnota Uwieńczona”, jak to wynika z listu Kazimierza Piaseckiego do Franciszka Malewskiego z dn. 19 grudnia 1821 r. Jest dalej świadectwo Wincentego Migurskiego, że Lelewel należał do masonerii na emigracji. Dalszym dowodem przynależności Lelewela do masonerii jest ofiarowanie mu katedry w masońskim (istniejącym do dziś dnia) uniwersytecie w Bruksellі.

Wiadomo, że masoneria pilnuje, by jej członkowie nie wracali przy śmierci na łono kościoła katolickiego; wiadomo też, że czuwa nad tem, by pozostałe po nich papiery nie dostały się w ręce obce. Osiągnięcie tych dwuch zamierzeń było powodem wyprawy dwuch „braci”: Gałęzowskiego i Januszkiewicza do Brukseli po Lelewela.

Było ono z ich punktu widzenia tym bardziej potrzebne, że Lelewel, obojętny pod względem religijnym, pod koniec swego życia zbliżył się do Kościoła i pragnął umrzeć w zgodzie z wiarą katolicką. Istnieje co do tego świadectwo ks. Dechamps, przechowały się własne słowa Lelewela (ogłoszone w r. 1864): „Nie wiem jaki będzie mój koniec, czy zostanę pokrzepiony pociechami religii, czy ich będę pozbawiony. Ale oświadczam, iż urodzony i wychowany w Kościele rzymskim, byłem i jestem wierny temu Kościołowi — z wolnością mego sumienia”.

Misja „braci” Gałęzowskiego i Januszkiewicza powiodła się całkowicie. Tak się zręcznie wzięli do dzieła, że nie dopuścili do tego, by ks. Dechamps został sam na sam z Lelewelem, nie mógł go tedy wyspowiadać. W Paryżu zaś tak się urządzili, że wszystkie papiery Lelewela po jego śmierci zabrali ze szpitala.

Tak opowiada prof. Chrzanowski. Do tego opowiadania można by dodać dwie uwagi. Pierwsza dotyczyła by obyczajów wolnomularskich. Okazuje się bowiem na tym przykładzie, jak dbają oni o „braci” swoich i jak pilnują interesów sekty swojej. Druga polegała by na stwierdzeniu, że fakt należenia Lelewela do masonerii tłumaczy wiele wydarzeń z jego życia.

Wszak Lelewel odegrał dużą rolę w czasie powstania r. 1831. Wiadomo zaś, że do wywołania tego powstania przyłożyła rękę masoneria, której był potrzebny ruch w Polsce celem powstrzymania wysłania wojsk polskich do Belgii. Wszak odgrywał też Lelewel rolę w życiu emigracji polskiej po r. 1831. Dzieje tej emigracji będą zaś dla nas całkowicie jasne dopiero wówczas, gdy się znajdą badacze, którzy odsłonią działania lóż polskich emigracyjnych i ich związki z lożami państw zachodnich. „Tajemnica ostatnich dni Joachima Lelewela“ odsłania fakty drobne, wskazuje jednak dobitnie na to, jak winny być uzupełnione badania naszej przeszłości w okresie dwuch stuleci: XVIII i XIX. Wyniki tych badań zaś rzuciły by dużo światła i na to, co się w Polsce działo i dzieje w wieku XX-ym.

S. K.

NAUKA i LITERATURA

MIESZANINY LITERACKIE

ZE STOSU książek, oczekujących na litościwego sprawozdawcę w jednym z kątów redakcyjnych, wyciągnąłem na chybił trafił „Szkice Literackie” p. Jana Świerzowicza. (Grodzisk-Poznań, 1936 r. 246, nakładem autora). Już to jedno, że sam autor figuruje jako wydawca godne było uwagi, z innych wszakże względów książka ta mnie zaciekawiła.

Jakaż bo tu rozmaitość przedmiotów poruszonych, jaka ogromna skala zainteresowań autorskich, jaki przede wszystkim serdeczny, niezwykły dla czasów dzisiejszych, stosunek do wszystkiego, co jest literaturą, sztuką, nauką, wogóle twórczością ludzką.

Nie wiedząc, kim jest autor, wyobraziłem go sobie jako jedną z ofiar losu, co zawody oraz gorycze swego istnienia neutralizuje rozmaitymi eliksirami, wyciśniętymi z takich zwłaszcza książek, w jakich pławić się można we wzniosłych

myślach i szlachetnych uczuciach. Najpewniej się mylę, w każdym jednak razie mamy tu do czynienia z gorącym czcicielem pracy ducha ludzkiego, z zachwyconym miłośnikiem dzieł, w których objawia się on najpełniej i najszczytniej.

Szuka go autor bez uprzedzeń zarówno wśród starożytnych jak nowożytnych pisarzy i myślicieli, swoich i obcych, wśród wierzących i sceptyków, fizyków i metafizyków, intuicjonistów i eksperymentatorów, nacjonalistów i socjalistów etc. etc.

Wielbi pracę ich myśli oraz poryw uczucia, oddając wszakże pierwszeństwo tym, których umysł, w dążeniu do prawdy czerpał zarówno ze źródła wiary jak i rozumu.

Rozkoszując się dziełami syntetyków, poruszającymi odwieczne zagadnienia bytu, istoty i celu życia wszechświata, umie wydobyć z dzieł analityków nie jedną myśl słuszną i prawdę płodną. Wogóle można o autorze powiedzieć, że „*il prends son bien, où il le trouve*", i że każda książka, jeśli tylko mówi szczerze o żywotnych sprawach bytu ludzkiego, znajdzie w nim żywo zainteresowanego czytelnika i sprawiedliwego sędziego.

Jak różnostronne są zainteresowania i upodobania literackie autora „Szkiców" o tem przekonywa spis zawartych w nich rzeczy. (Zbiorowi tego rodzaju prac, Francnzi dawali niegdyś tytuł: „*Les Mélanges Littéraires*").

Są tu rozprawy i rozprawki np. o „Słowackim i Maeterlinck'u wobec współczesnej nauki", „O żywotności C h o w a n n y Trentowskiego", o „Hoene-Wrońskim i jego filozofii historii", o „Dmowskim i Wyspiańskim, z powodu czwartego wydania „Myśli nowoczesnego Polaka", o „Roli oświaty i kultury w odbudowie państwa polskiego", o „Ideałach kultury", o „Alfredzie Loizy i francuskiej myśli religijnej" itd.

Jest tu mowa o Berencie i Micińskim, o Dantem i Hebblu, Amiel'u, Papini'm, E. Hello, Galsworthy'm i w. in. poetach i filozofach dawniejszych bądź współczesnych.

Są to artykuły przeważnie sprawozdawcze, niepozbawione jednak samodzielności sądu, ale są także i takie, w których autor do badań ogólnych nad tym lub innym przedmiotem literackim dorzuca coś własnego, niezauważonego przez innych, bądź niedostatecznie poznanego. (Mamy tu na względzie szkic p. t. „Balzac i Słowacki", „Echa Plutarcha w I-szej części „Dziadów" itp.)

Ale ani to, co jest w tych „Szkicach" własnością autora ani jego rozległa wiedza tak nas w tej książce nie zastanawiają, jak zapał i cześć dla tego, co jest w dziełach umysłu ludzkiego życiodawczego i życiotwórczego. Znać tu czciciela światła zwracającego się z zaufaniem do każdego źródła, skąd ono wytryska, byleby nie było zmącone złą wiarą i niską namiętnością.

Tego rodzaju gorąca cześć dla wysiłków myśli ludzkiej, mającej prawdę wieczną na względzie, nierzadko tłumi krytycyzm autora; jest to jednak stan duszy, budzący szacunek.

Będąc sam człowiekiem prawdziwie dobrej woli, nikogo o brak jej nie posądza, dla tego więc zdarza się mu czasami wziąć jakiegoś mistyfikatora za rzetelnego myśliciela... O autorze „Szkiców" można powiedzieć to, co on sam mówi o jednym z wielbionych przez siebie poetów, iż jest to „*anima candida*".

Rzadki to okaz w dzisiejszym światku literackim.

WŁADYSŁAW JABŁONOWSKI

RUCH WYDAWNICZY

Dr. J a n G a l i c z. „Z minionych lat. Przyczynek do historii ruchu narodowego na Śląsku Cieszyńskim". Cieszyn 1937 r.

Autor mówi o obronnej od wieków walce ludu o prawa historyczne tej prastarej polskiej dzielnicy. Szkolnictwo powszechne, zaczątki pracy w wydawnictwach „Tygodnik Cieszyński" i „Gwiazdka Cieszyńska", teatr, manifestacje i związki, to tło w którym zarysowuje się pochód i działalność idei. Trzeba się było bronić na dwa fronty, przeciw naporowi obcych sił w kierunku zczechizowania i zaustryjaczenia ludności. Przeciw tym zakusom występowała garść księży i nauczycieli. Zakładano biblioteki, wydawano pisma, zwoływano zgromadzenia publiczne, budzono ducha. Wszystko nakładem pracy wolnej od obowiązków zawodowych i ubogim własnym kosztem.

Dr. Galicz przedstawia historię tego ruchu od początków 19-tego wieku. Wylicza nazwiska i opisuje działalność przywódców ofiarnych i niestrudzonych. Pracowali nie tylko nad uświadomieniem ludu, ale nad uprawnieniem polskości na Śląsku. Gminy, korzystając z trudnej, pełnej niepokojów, sytuacji zaborczego rządu, domagały się i wymogły skutecznie, aby, „rozporządzenia urzędowe przysyłano na Śląsk w języku polskim, a nie czeskim, którego ludność nie rozumie". Następną zdobyczą było uzyskanie pozwolenia na założenie w Cieszynie „Czytelni polskiej", a dalej starano się o nauczanie w szkołach w języku polskim, nie niemieckim i czeskim. I o to aby drukowano „Dziennik praw krajowych dla Śląska" po polsku, „nie szwabachem, lecz literami łacińskiemi i nie w narzeczu śląskim, jak chcieli niektórzy urzędnicy, lecz w języku piśmiennym polskim". Także o używanie mowy polskiej w sądach i w toku administracji politycznej.

Praca ta była prowadzona w warunkach najtrudniejszych. Rząd nie dotrzymywał wymuszonej rewolucją konstytucji. Władze administracyjne przeciwdziałały „seperatyzmowi", a do pomocy w tym bałamuceniu ludności miały, prócz aparatu biurokratycznego i policyjnego, niestety, wydawnictwo polskie, subwencjonowane, renegackie.

Nie dali rady.

Z czasem, gdy zelżało brzemię absolutyzmu, zaroiło się od stowarzyszeń oświatowych. Lud przypomniał sobie dawne tradycje. Zakwitły kwiaty poezji.

Książka „Z minionych lat" jest rezultatem szczegółowych badań historycznych. Napisana interesująco. Daje żywy obraz walki uczuć z przemocą i uwydatnia niezmożoną tężyznę ludu. (A. W.)

*

B i l i ń s k i J a n. „Ćwiczenia słownikowe". Wyd. III Lwów 1937. Państw. Wyd. Książek Szkoln. Str. 119.

„Ćwiczenia słownikowe" Bilińskiego, wydane po raz pierwszy w r. 1931, zdobyły sobie w kołach nauczycielskich zasłużone uznanie. Świadczy o tym najlepiej szybkie wyczerpanie obu pierwszych wydań książki.

Obecne wydanie—trzecie, poza wprowadzeniem nowej pisowni, dostosowane zostało również do wymagań programu czteroletniego gimnazjum, jakkolwiek służy kształceniu języka już od pierwszych lat nauczania. Jest to więc książka nietylko dla polonisty czy filologa, lecz dla każdego wogóle nauczyciela, pragnącego pogłębić i rozszerzyć zasób wiadomości swoich o języku.

*

Spełniło się życzenie, wielekroć wyrażane przez wielu ludzi. Otrzymujemy tanie, wszystkim dostępne wydanie d z i e ł S i e n k i e w i c z a. Na razie objęło ono tylko „Trylogię" i „Krzyżaków", ale i to już dużo, zważywszy, że wydawcy (Zakład narodowy im. Ossolińskich we Lwowie) nietylko udostępnili cenę, format (kieszonkowy) i tekst (przez rozliczne komentarze), ale postarali się przytym o wprowadzenie dwuch dalszych korzystnych „nowości": 1) rewizji tekstu, 2) milej szaty zewnętrznej. Usunięto różne omyłki druku, które szpeciły dawne wydania (utyskiwał na nie Sienkiewicz od dawna), gdzie niegdzie w wątpliwych miejscach zasięgając informacji w autografach. Nadmienimy, że pożyteczną i ciekawą rzeczą byłoby—dokonać kiedy—choćby bibliofilskiej edycji pierwotnego tekstu (brulionu) „Potopu", znajdującego się w Oblęgorku, a różniącego się znacznie od edycji książkowej.

Komentarze przygotował z wielką sumiennością i znawstwem dr Juliusz Kijas, autor cennych prac o historycznych źródłach „Trylogii". Mapy dodane do „Trylogii" i „Krzyżaków" bardzo ułatwiają orientację czytelnikowi, a dla młodzieży i czytelników z ludu mogą się okazać bardzo kształcącą pomocą.

Każdy z tomików ozdobiono portretem Sienkiewicza. Portret ołówkowy nakreślony przez Pochwalskiego jest prześliczny, ale naszym zdaniem nie powinien znajdować się na okładce „Krzyżaków", skoro przedstawia Sienkiewicza z epoki znacznie wcześniejszej. Tu stosowniejszy byłby inny portret — tak mało znany, a również świetny—rysowany przez Mordasewicza.

Czekamy, kiedy w takim samym wydaniu ukaże się „Quo vadis". We Włoszech dzieło to miało podobnych wydań już kilka. A u nas za mało się myśli o należytym rozpowszechnieniu najsławniejszej powieści polskiej. (J. B—r.)

*

Otton Heddeman. „Graf Manuzzi". Wilno 1937 Skład gł. w księg. św. Wojciecha.

Zmarły przed dwoma miesiącami historyk ziem wschodnich zostawił bogatą spuściznę literacką. Materiały dobył z nietkniętych od lat przez naukę aktów i rozświetlił je stylem barwnym i serdecznym. „Historia powiatu brasławskiego", „Dawne puszcze i wody", i „Dzisna i Druja" to jego dzieła monumentalne, a prócz nich szereg prac drobnych, monografij postaci i miejscowości historycznych.

Opowieść o hr. Manuzzim rozpoczyna motto z „Prawem i lewem" Wł. Łozińskiego: „Co za świat, co za świat! Świat, w którym cnotliwym być trudno, spokojnym niepodobna".

Manuzzi jest typem doskonale dobranym dla ilustracji epoki. Przybłęda, w nagrodę za ożenienie się z kochanką króla Stanisława Augusta, Jadwigą ze Strutyńskich *primo voto* Ciechanowiecką, otrzymał indygienat szlachecki i dożywocie na starostwie Opeskim i Dameskim. W ciągu lat dał się okolicznym ziemianom, mieszczanom i chłopom we znaki, niczem lis lub wilk wściekły.

Rzecz wprost nie do pojęcia, ile złego mógł sprawić jeden człowiek.

Nie poprzestając na tem, że od mieszczan i chłopów w swych powiatach wymuszał nadmierne czynsze, opornych „bił, więził w okowach, sklepach ciemnych i najmocniejszych żelazach trzymał, męki, kary nadzwyczajne wymyślał". Napadał zajazdami okoliczne dwory szlacheckie, wyrąbywał cudze lasy, nasyłał rozbójników—chłopów celem tratowania zasiewów jarych i ozimych, podpalał zabudowania gospodarcze a równocześnie, tyle szkód czyniąc, wszczynał w trybunałach procesy na podstawie zeznań przekupionych świadków i sfałszowanych aktów. Ufny w obowiązki wdzięczności ze strony króla, następnie w pomoc wojsk i władz rosyjskich, targowiczanin, szpieg, do późnej starości hulał bezkarnie.

W dziwnym skojarzeniu ze zbrodniczymi instynktami były jego zamiłowania estetyczne. Wykształcony, układny, bywający w Warszawie na balach w Łazienkach i w Petersburgu na dworze carowej Katarzyny II i cara Pawła, gromadził do swej pysznej rezydencji w Bohiniu nad Dźwiną skarby sztuki. Z artystycznym smakiem i znawstwem zbierał „luksusowe meble, adamaszki, lustra, obrazy, zastawy stołowe, bronzy, porcelany, kryształy, farfury saskie, czeskie, berlińskie, angielskie". A co za wina, garderoby, uprzęże, pojazdy, oręż.

Umiał żyć.

Studium o Manuzzim jest klejnotem metody opowiadania. Jest też podzwonnem nieuczciwie nabytych dostatków.

Druzgocąca stopa wojen i zemsta pokrzywdzonych nie zostawiły z wspaniałego pałacu kamienia na kamieniu.

Relacja gen. Hermana do księcia Repnina mówi o tych starościńskich powiatach:—„Niema chleba... tu kompletna pustynia, pozostały tylko wałęsające się tłumy, rolnictwo całkiem zarzucone, wiele pól leży odłogiem... Kraj ten czyni wrażenie raczej pustyni, niż ziemi zamieszkałej". (A. W.)

NOWE KSIĄŻKI

Lechnicki Tadeusz. O jasny program i zwarte działanie. Cz. I. Rolnictwo. Warsz. 1937. Str. 144.

Świderska Alina. Królowie. Powieść z życia i epoki Ryszarda Wagnera. Cz. I. Król bez ziemi. Kraków 1937. Skład gł. Bibl. Polska w Warszawie.

Dmowski Roman. Polityka polska i odbudowanie państwa. Druga połowa: Wojna od r. 1917. Pokój. „Pisma", t. VI. Częstochowa 1937. A. Gmachowski i Sp. Str. 400.

Dobraczyński Jan. Bernanos — powieściopisarz. Lublin 1937. Tow. Wiedzy Chrz. Str. 87.

Kornecki Jan. Oświata polska na Rusi w czasie wielkiej wojny. Z przedmową Stanisława Zielińskiego. Warszawa 1937. Pamiętnik Kresowy. Zesz. II. Str. XXI i 132.

Piłsudski Józef. Pisma zbiorowe. T. VI. Warsz. 1937. Inst. badań najn. historii. Str. 217.

Kowal-Lipiński Józef. Ideologia, program i światopogląd Narodowo-Radykalnego Ruchu Uzdrowienia. Katowice 1937. Str. 88.

Życzyński Henryk. Estetyka tragizmu. Lublin 1937. Skład u św. Wojciecha. Str. 32.

POLSKO-CZESKIE STOSUNKI KULTURALNE

I

Zainteresowania czechosłowackie sprawami kultury polskiej datują się od dawna i są zakrojone na dużą skalę. Weźmy tylko najważniejsze pozycje. Na uniwersytecie Karola czternaście już lat istnieje katedra historii i literatury polskiej, ufundowana i utrzymywana stale przez rząd czechosłowacki. We wszystkich uniwersytetach i nawet w wyższej szkole handlowej w Czechosłowacji są zainstalowane lektoraty języka polskiego, częściowo obsadzone przez Polaków a częściowo przez Czechów. Księgozbiory publiczne w Czechosłowacji w dużej mierze uwzględniają książki polskie, a Biblioteka Słowiańska przy Instytucie Słowiańskim w Pradze książek tylko z najnowszej literatury polskiej posiada do swej dyspozycji przeszło 30,000 tomów, nie licząc cennych zbiorów rękopisów polskich (np. kolekcja pamiętnikarska dotycząca powstania 1863/4 r.) i wielkiego działu polskiego w zbiorach i bibliotece Muzeum Narodowego w Pradze. Czy to w Akademii Umiejętności, czy to w Rolniczej Akademii, czy w Centralnej Bibliotece Dzieł Pedagogicznych, albo i w Instytucie Słowiańskim wiele życzliwej uwagi poświęcają Czesi sprawom polskim.

Co roku na scenach czechosłowackich grywane są sztuki autorów polskich, a mimo zachmurzenia się horyzontów politycznych ani na chwilę nie ustała pożyteczna działalność propagandowa Towarzystw Czechosłowacko-Polskich w Pradze, Brnie, Taborze, Gródku Królowej, Beneszowie, Bratisławie, Pisku, Pardubicach, Młodym Bolesławiu, nie licząc tego, że w Pradze działa nadto Liga czechosłowacko-polska a we wszystkich środowiskach akademickich rozwijają energiczną działalność „Koła Przyjaciół Polski". Sprawy kulturalne polskie śledzone są przez referentów polskich we wszystkich większych redakcjach z takim zapałem, jakby to chodziło o sprawy czechosłowackie. Na łamach po niemiecku wydawanego dziennika czeskiego *„Prager Presse"* red. A. Mágr od długiego szeregu lat pilnie referuje o każdej ważniejszej publikacji polskiej lub wydarzeniu w życiu kulturalnym, a niemal połowa głosów o polskich sprawach kulturalnych, które pojawiają się w prasie europejskiej, czerpie swe źródło właśnie z... *„Prager Presse"*.

Największym dowodem zainteresowania się Czechów polską literaturą są mnożące się z roku na rok bardzo liczne przekłady poezji, beletrystyki i nawet prozy naukowej polskiej. Ostatnia wystawa książki polskiej w przekładach obcych dała możność przekonania szerokiego ogółu kulturalnego w Polsce, jak wiele miłości objawia Czechosłowacja literaturze polskiej. Bibliografia przekładów czeskich z polskiej literatury pięknej od 1900 roku obejmuje przeszło 800 pozycji książkowych i wogóle wydań oddzielnych. Znawcy powiadają, że liczba przekładów rozsianych po czasopismach czechosłowackich, jeżeli chodzi o literaturę polską, w bieżącym stuleciu wynosi przeszło 25,000 pozycyj. Nie jest to żadna przesada, gdyż wiele dzienników (np. swego czasu *„Narodni Li-*

sty" — przekłady Józefa Beczki) potrafiło latami całymi zamieszczać w odcinku co dwa lub trzy dni przekład aktualnego felietonu polskiego. Najczęściej były to felietony „Sęka" z „Kuriera Warszawskiego".

Nawet w okresie sporów cieszyńskich i ostatnich przeciwności nie osłabło dążenie Czechów i Słowaków do tłumaczenia wszystkich wartościowych utworów polskich.

W takich warunkach studiowanie literatury polskiej przez przeciętnego Czecha nie nastręcza żadnej trudności i nawet nie wymaga znajomości języka polskiego, bo wszystkie arcydzieła naszego piśmiennictwa czy to z zakresu poezji, czy prozy są już dawno przetłumaczone. We wszystkich wypisach szkolnych w Czechosłowacji spotkamy urywki utworów Sienkiewicza, Prusa, Dygasińskiego, Kraszewskiego, Reymonta i w. in.

A że od niedawna wprowadzono nawet do niektórych szkół średnich nauczanie języka polskiego (do wyboru jeden język słowiański), a towarzystwa czechosłowacko - polskie urządzają w Pradze i w innych miastach bezpłatne kursy języka polskiego, więc też zainteresowanie dla literatury polskiej wciąż się wzmaga.

*

Czeskie pisma literackie wiele uwag życzliwych poświęcają piśmiennictwu polskiemu. Najstarsze z nich „*Lumir*", organ Koła Sekcji Literackiej *Umeleckiej Besedy* w Pradze liczy przeszło 60 lat istnienia, a sławną swą tradycję utrzymuje nadal na wysokim poziomie jego redaktor, profesor uniwersytecki, dr. H. Jelinek, który kierownictwo pisma objął po zmarłym poecie i narodowcu czeskim V. Dyku. Oprócz pięknych krytyk Sezimy o literaturze czeskiej — wiele spotkamy artykułów i wzmianek o Polsce. Dużo też zainteresowań objawiają: tygodnik „*Zvon*", wydawany przez Unię pod redakcją Fr. S. Prochàzki jako organ pisarzów starszej generacji, dwutygodnik „*Rozprawy Aventina*", założony przez dr. Storcha-Mariena i trzymający stale rękę na pulsie życia literackiego, wreszcie dwa ine periodyki: „*Listy pro umeni a kritiku*", wydawane przez Melantricha oraz „*Rozhledy po literature a umeni*", redagowane przez dr. M. Nowotnego. Słowacy, których bujny rozkwit życia kulturalnego wszędzie jedna im przyjaciół, we wszystkich swych czasopismach więcej poświęcają uwagi sprawom polskim, aniżeli... polskie teatry polskiej twórczości dramatopisarskiej.

Przodują oczywiście w propagowaniu spraw polskich „*Slovenske Pohl'ady*", redagowane przez dr. Andrzeja Mraza, a zamieszczają wiele przekładów z poezji polskiej Stanisława Mecziara i Andrzeja Żarnowa. W rocznikach pisma „*Elan*" (Praga), „*Slovenské Smery*", redagowane przez poetę Lukaca, „*Kultura*" (Trnava), „*Prudy*" (Bratisława), „*Sluzba*" (Lipt. św. Mikołaj) i w. in. mamy istną kopalnię materiału polskiego. Niestety, musimy to powiedzieć zupełnie szczerze i obiektywnie, że nie mamy w Polsce ani jednego periodyku literackiego, któryby chociaż w połowie interesował się tak sprawami czeskimi i słowackimi, pomieszczał artykuły rzetelnych znawców i ogłaszał przekłady z bieżącej twórczości literackiej Czechów i Słowaków, jak to czyni chociaż jedno z wymienionych czasopism literackich w Czechosłowacji.

W Teatrze Narodowym w Warszawie nie była dotąd grana żadna sztuka autora czeskiego lub słowackiego. Rozpoczęte próby sztuki Franciszka Szramka „Księżyc nad rzeką" w tłumaczeniu Miriama w r. 1927 zostały przerwane i poza nieszczęsnym Szwejkiem z Jaraczem w roli tytułowej na deskach Teatru Polskiego i słabą sztuką Langra (zresztą żyda, a nie Czecha) „Łatwiej przejść wielbłądowi" w Teatrze Małym — na scenach stołecznych nic poważnego nie zagrano. A kto wie, czy wystawienie „Jerzego z Podiebradów" Rudolfa Medka, sztuki doskonałej i omawiającej stosunki polsko - czeskie w przeszłości, nie było by dobrym *memento* dla dzisiejszych czasów.

Ale podczas, gdy Czesi nieustannie dbają o pogłębianie znajomości Polski (w roku przyszłym wyjdzie w opracowaniu prof. dr. B. Vydry a nakładem Instytutu Słowiańskiego w Pradze „Wielki Słownik Polsko - Czeski") — my nie wyszliśmy ani na jotę poza obręb wiadomości pozostawionych nam w spuściźnie przez niezapomnianego Bronisława Grabowskiego lub napisanych przez Edwarda Jelinka.

LUMIR

NA MARGINESIE

W ostatnim zeszycie „Tęczy" (wrzesień) Adolf Nowaczyński ogłosił obszerne studium o prezesie Akademii Literatury Sieroszewskim. Z tego arcyciekawego oskarżenia wyjmujemy dokument, świadczący jak kruche podstawy ma w duszy tego sanatora i senatora głoszona dziś przez niego zasada państwowości. Oto przed samą wojną pisał w lwowskim „Płomyku (rocz. VIII).

„— Państwo było zawsze narzędziem ucisku; gwałt i łupiestwo były dotąd głównym jego celem. Nawet źródłosłów jego nazwy nie tylko w polskim, ale i w innych językach — pan, panować, rządzić—zawiera w sobie hańbiący pierwiastek narzuconego przymusu i niewoli. Czy więc pod godłem jakiegokolwiek państwa, choćby najładniej umalowanym i ubranym w tęczowe barwy legend bohaterskich, może stanąć uświadomiony robotnik socjalista, dążący do wyzwolenia siebie i braci swoich? Przenigdy".

I to się pisało w czasach, o których legenda sanacyjna opowiada, że były czasami chwały socjalistów, jako twórców niepodległościowego programu walki o państwo. Sieroszewski jako ideolog za tę swoją „państwowość" został prezesem Akademii i senatorem. Tylko państwo, naród — do Berezy.

*

Z wykładów o postępie.

— Po procesie Fleischerowej chyba wszyscy się przekonali, że bez żydów nie można pracować. Filosemici są ludźmi, którzy to dobrze zrozumieli. Obrona żydów jest działaniem na rzecz postępu.

A drugi wniosek dotyczy feminizmu. Czyż to nie ciekawe zjawisko, że kobiety rzucają się na przedsięwzięcia najbardziej ryzykowne i rozległe, a mężowie ich nic o tym nie wiedzą?

Wszystko jedno, co o danym przedsięwzięciu złego czy dobrego możemy powiedzieć, ważne jest to, że kobiety biorą się do działania, nie gardząc koniunkturą.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9**, półrocznie zł. **17**, rocznie zł. **32**, zagranicą kwart. zł. **12**, półroczn. zł. **24**, rocznie zł. **45.**
Konto czekowe na P. K. O. **3.105.**

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205.80 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.